

V-0100/3

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 69.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 2, miesięcznie
kop. 67 i pół.

Warszawa, 7 stycznia 1861.
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM III.

TREŚĆ NUMERU.

Tadeusz Czacki (z drzeworytu). — Kronika tygodniowa. — Kościół Panny Maryi w Gdańsku (z dwoma drzeworytami). — Przegląd piśmienniczy. — Na dawnym szlaku, poezya. — Korrespondencya od redakcyi. — Korrespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Kościół w Szydłowie na Żmujdzi (z drzeworytu). — Zadanie szachowe do nagrody. — Rebus.

Tadeusz Czacki.

Imię Tadeusza Czackiego przypomni czytelnikom naszym przynajmniej wielkiego miłośnika i zbieracza pamiątek krajowych, zdolnego i nader obfitego pisarza, a osobiwie twórcę liceum krzemienieckiego i reformatora szkół trzech gubernij: wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej. Lecz pod temi ogólnemi i tradycyjnie znanemi tytułami do pamięci i czci powszechnej, tyle mieści się czystej gorliwości obywatelskiej, zadziwiających usiłowań i niezmiernych prac dla dobra kraju, tyle prac te wydały ważnych owoców, że imię Czackiego od przeszło pół wieku stało się u nas ukochanem i wspomina się z głęboką wdzięcznością. Opowiemy to interesujące życie, by sobie świadomości zdawać sprawę z pobudek czci naszej dla Czackiego.

Tadeusz Czacki urodził się dnia 28 sierpnia 1765 r. w Porycku, miasteczku w dzisiejszej gubernii wołyńskiej, powiecie włodzimirskim, będącym własnością jego rodziców, Feliksa Czackiego, podczaszego koronnego i Katarzyny z Małachowskich. Stryj Tadeusza, Franciszek, był strażnikiem wielkim koronnym, a sławny potem Stanisław Małachowski krewnym z matki. Samo tedy pochodzenie z rodziny majątnej, z przodków oddanej usłudze publicznej i spokrewnionej ze znakomitemi w kraju domami, wskazywało i ułatwiała młodemu Tadeuszowi jego przyszły zawód. Do znacznego majątku i stosunków, tój ważnej na świecie korzyści, dającej podstawę materialną i siłę do działania, dał mu Bóg świetne zdolności i zacne przymioty duszy. Dobre wychowanie mogło je rozwinąć, podnieść i właściwie skierować. Lecz właśnie takie wychowanie młodego Tadeusza zagrożone zostało, gdy jeszcze w dzieciństwie stracił matkę.

Wtedy stryj jego Franciszek, strażnik wielki koronny, umyślnie zjechał z Gdańska i zabrał z sobą synów-
ców. Blisko pięć lat przebyli u niego, i pobyt ten

silny wpływ wywarł na żywym z przyrodzenia umyśle młodego Tadeusza, obudzając w nim zastanowienie i rozagę i z najmłodszych lat skłaniając do myśli i zajęć poważnych. Za nauczyciela dla Tadeusza i jego starszego brata Michała, wybrał ojciec jezuitę ks. Faustyna Grodzickiego, który jeszcze niedługo temu dawał lekcye matematyki we Lwowie i obok znakomitej biegłości w naukach, szczególnie w łacinie, posiadał szacowne przymioty. Nauki ks. Grodzi-

gorącą miłość bliźniego, gotowość do poświęceń i wczesną, czynną myśl o dobru ogółu.

W żywotach ludzi znakomych często, w piérwszej ich młodości, spotykamy czyn, który potem miał ich uświetnić i uwiecznić, dokonany przez nich instynktownie. Takim czynem w młodości Czackiego było założenie szkółki. Było to wówczas, kiedy nowoutworzona kommissya edukacyjna i ludzie lepsi w narodzie myśleli, naród cały, jakby zbudzony świeżemi kłeskami, szczerze pragnął i znakomici obcy zyczyli i zachęcali, aby ulepszyć i podnieść oświatę krajową, uchylić szkodliwe, a poprawić spaczony instytut, i w skutek tego nagrodzić sobie moralnie to, co się straciło materialnie. Rząd i naród zgodnie pragnął nauczyć się jak dalej być i gorliwie usiłował obudzić drzemiące swe siły. Najdzielniejszym do tego środkiem było ulepszenie, stosownie do czasu i potrzeb, wychowanie; najenotliwsi ludzie w narodzie troszczyli się o to. Naturalnie i w domu Czackiego musiano nieraz naradzać się nad tém, co leżało na sercu całemu narodowi. Młody Tadeusz, słysząc o usiłowaniach starszych, powziął szlachetne postanowienie oszczędzać pieniądze dane na jego dziecinne rozchody, aby za nie z czasem założyć szkółkę. Nie ustraszyła go szczupłość dochodów: ze stałą wytrwałością składał każdy grosz oszczędzony, i gdy już miał tyle, że mógł swój zamiar przywieść do skutku, założył szkółkę wiejską, w której nauczał wybrany przezeń Franciszek Świątkowski, a młody fundator, w czasie wolnym od własnych lekcyj, odwiedzał ją i pilniejszych uczniów nagradzał. Piękny ten czyn, okupiony długą a wytrwałą ofiarą, był wróżbą przyszłego, wiekopomnego twórcy szkoły krzemienieckiej.

Po ukończeniu domowej edukacyi, dla obznajmienia się z prawami krajowemi i usposobienia do usług publicznych, w 1781 r. piętnastoletni Tadeusz udał się do Warszawy i rozpoczął swój zawód publiczny w sądach zadwornych. Żywy dowcip, roztropność i zdrowy rozsądek, ułatwiły mu nabycie znajomości praw i form sądowych, tak niezbędnych w ówczesnym życiu Polski. Świetny jego umysł nie ograniczył się suchą literą prawa, lecz badał jego ducha i pobudki ustaw. Aby znowu dokładniej ocenić pobudki ustaw, potrzeba było zgłębiać dzieje krajowe.



TADEUSZ CZACKI. (Rysował Polkowski, podług litografii Ceglińskiego z Pitschmanna, rytował Styfi w Warszawie.)

ckiego i przykład jakim Tadeuszowi przyświecał ojciec, tudzież jego krewni i przyjaciele podobni Stanisławowi Małachowskiemu, wyrabiały w młodzieńcu

W tym celu poznany z A. Naruszewiczem i J. Albertrandym i prowadzony światłą ich radą, gromadził rozległe i gruntowne wiadomości. Historia, statystyka i prawo stały się ulubionymi jego zajęciami, a sławna biblioteka Żaluskich dostarczała mu środków do kształcenia się. Nagromadzone w niej skarby umysłowe wcześniej obudziły w młodym sercu szlachetną żądzę zbierania podobnych bogactw, a przykład Albertrandego i Naruszewicza, co spisywali, zwozili nawet w obcych krajach rozproszone pamiątki polskie i ze źródła czerpali wiadomości o rzeczach krajowych, podniecał go i uczył jak należy cenić i zgłębiać zabytki z przeszłości. Już wtedy młody Czacki zbierał książki, rękopisma i monety; wtedy też obmyślił swe obszerne dzieło o litewskich i polskich prawach. Wiedzę zaczęła roznosić po Warszawie sławę uczonego młodzieńca, żarliwego czciciela, zbieracza i znawcy rzeczy krajowych. Zalecony Stanisławowi Augustowi, otrzymał d. 30 kwietnia 1784 r. nominacją do komisji kruszcowej. Rozbudzone życie krajowe wyszukiwało bezczynne dotąd lub zapomniane siły i środki bogactwa krajowego: między innymi pilną zwrócono uwagę na kopalnie. Kopalnie srebra w Olkuziu, w czasie wojen szwedzkich uszkodzone i zaniedbane, kopalnie żelaza, choć w niewielkich dymarkach, ale właśnie zato tym staranniej wyrabianego dostarczające żelaza, były nieliczne, innych kruszców mało lub wcale nietknięte. Teraz, przy ożywionej działalności narodu, postanowiono jedne zbadać i rozpocząć, drugie oczyścić i rozszerzyć; sól wreszcie, tak ważną i niezbędną, usiłowano odkryć. Dlatego to sejmujące stany pragnęły rozszerzyć między krajowcami znajomość górnictwa i na wniosek Czackiego uchwały wysłać kosztem rządu trzech zdolnych młodzieńców do Węgier, trzech innych do Niemiec, w celu doskonalenia się w nauce górnictwa, Probierskiej, mineralogii i metalurgii; Czackiego zaś mianowały członkiem komisji skarbowej. Komisja skarbową poleciła mu, razem z innymi jej delegatami, zbadać kopalnie krajowe, szczególnie zaś zwrócić uwagę czy nie wyjadą gdzie soli. Jednak, mimo najpilniejsze poszukiwania, nie zdolano jej odkryć i najdogodniejszym środkiem otrzymywania soli pozostał handel z Mołdawią. Dla ułatwienia tego handlu, poruczono Czackiemu zbadać i opisać znaczniejsze rzeki Wołynia, Podola i Ukrainy, rozpoznać ich połączenia z sobą, dać swoje uwagi jak można uczynić je splawnymi, wreszcie zawiązać stosunki handlowe z Ipsylantym, ówczesnym hospodarem Mołdawii.

Czacki wywiązał się z tych poruczeń z rzadką gorliwością obywatelską. Wszystkie w tym celu przedsięwzięte podróże odbył swoim kosztem; ważniejsze rzeki obejrzał, gdzie należało poprowadzić kanały dla ich połączenia wskazał, i własnym nakładem, 40,000 dukatów wynoszącym, kazał zrobić mapę hydrograficzną Polski i Litwy, z oznaczeniem biegu rzek wielkich i mniejszych w ilości 4819, zakrętów, spadków i wszelkich pomocy lub przeszkód do uczynienia ich splawnymi. Podał ważne uwagi nad handlem Polski z Portą otomańską przez morze Czarne, za pośrednictwem Dniestru, Bohu i Dniepru, jako naturalnych do niego dróg. Rzeka Dniestr za jego staraniem dokładnie w swym biegu i głębini rozpoznana i opisana, i aż trzynastcie jej kart zrobiono; wszystkie te karty komisji skarbowej ofiarował. Przy ujściach rzek zwiędził istniejące porty handlowe lub upatrzył miejsca dla nich dogodne; obejrzał kwarantanny na granicy tureckiej w Żwańcu, Bałcie, Mohilewie i Jampolu, o wszystkim dając trafne i nacechowane rzadką przezornością uwagi.

Z Ipsylantym, hospodarem Mołdawii, zawarł korzystną o sól umowę, jak o tym świadczą interesujące jego listy, datowane z Jass 31 lipca 1787 roku do Stanisława Małachowskiego i prymasa Poniatowskiego. Umowa ta jednak, z powodu wojny tureckiej, nie przysłała do skutku.

Oprócz zwracania uwagi na Mołdawię i Turcyę, przekładał Czacki komisji skarbowej potrzebę zawiązania obszerniejszych stosunków handlowych z Anglią i nastawał, aby nasz handel zagraniczny był prowadzony porządnie, z pewnym systematem i korzyścią ogólną. W tym celu projektował, aby w państwach z którymi prowadziliśmy handel mieć stałych obywateli, coby zawiadamiali o cenach i ruchu handlowym za granicą i nawzajem zbierał i udzielał objaśnień o zbywających produktach i wewnętrznych kraju potrzebach.

W tymże roku 1787, gdy się starano skłonić Izraelitów do rolnictwa, uwalniając ich za to od pogróżkowego, Czacki podawał plany ich reformy i miał pociechę donieść komisji skarbowej, że kilkanaście rodzin z prowincji ruskiej i ukraińskiej wzięło się do roli. Wtedy rozpoczął swoje obszerną i uczoną rozprawę o Żydach i Karaitach i napisał projekt o urządzeniu rękodzielni w Polsce i Litwie, o bezpie-

czeństwie osób, domów i o osobistych prawach rękodzielników.

Gdy komisja skarbową 1790 roku zdawała sejmowi sprawę z czynności swoich, najlepiej wysłowić się zdolność, poświęcenie i zadziwiająca praca Czackiego. Dwa ogromne tomy czynności skarbowych, z przeszło 3,000 arkuszy złożone, znajdujące się niegdyś w Porycku i po większej części własnoręcznie przez Czackiego pisane, stwierdzały jego rzadką wytrwałość. Powstał ogólny głos uwielbień wśród sejmujących stanów dla człowieka, co każdą myśl ku dobru powszechnemu obrażał, co wykazał takie dowody zdolności prawnych i ekonomicznych, tyle łożył usiłowań i kosztów, w celu powiększenia dochodu krajowego i każdemu prędką i bezwzględnie wymierzał sprawiedliwość. Nie słyszał tych uwielbień Czacki, bo wyjechał na pogrzeb ojca, a gdy go dochodziły pochwały, odpowiadał skromnie, że „nagroda przewyższa jakążkolwiek jego zasługę.“

W tymże roku delegowany na sejm od komisji skarbowej, gruntownie miał mowy w rzeczach ekonomicznych politycznej dotyczących, jak świadczy jedna z tych mów *O rzeczy menniszej*, ogłoszona drukiem. Zgodnie z celniejszymi podówczas publicystami naszymi, pragnął zapobiedz zamieszkom w czasie bezkrólestwa i do uchwalenia praw na sejmie wielkim, odpowiedniejszych dobru kraju, czynnie się przykładał. Przeznaczony z Janem Horainem i Tomaszem Wawrzecim do przejrzenia i spisania skarba w Krakowie, świętą wymową zapoznawał zebranych obywateli z pamiątkami naszej przeszłości i zostawił piękny opis tego skarba. W 1791 roku podał rządowi ważny projekt rozmierzenia całej Polski i sporządzenia karty strategicznej, ekonomicznej i statystycznej. Wezwany przezeń Jan Śniadecki, wówczas professor matematyki i astronomii w akademii krakowskiej, wskazał sposoby jak wykonać tę kartę. Tak obszerny i trudny zamiar, zwłaszcza przy ówczesnych w kraju wypadkach, nie mógł przyjść do skutku; w każdym jednak razie świadczy jak rozległe i użyteczne dla kraju przedsięwzięcia zaprzęta genialną myśl Czackiego. Znali go też i powszechną cziłą otaczali współobywatele, a król Stanisław włożył nań 1794 roku order orła białego; order św. Stanisława otrzymał jeszcze 25 listopada 1786 r.

Przez kilka lat następnych znajdujemy przerwę w publicznych pracach Czackiego. Ciężkie kłębki, jakim kraj uległ, i jego boleśnie dotknęły; usunął się od spraw publicznych i żył prywatnie; lecz nie odrętwiał w bezczynnym żalu, tylko zmienił rodzaj pracy. Oddany naukom, uczęszczał do akademii krakowskiej, zgłębiając i gromadząc stare druki i rękopisma. Z Krakowa, zalecony listami królewskimi do biskupa krakowskiego i przełożonego klasztoru na Łysiej górze, zwiędził ten klasztor i inne sławne swymi zbiorami naukowymi i wydobywał z nich szacowniejsze zabytki przeszłości. Tym sposobem mnożyła się jego biblioteka porycka.

Bawiąc w Petersburgu, zwiędził akademie Nauk, Sztuk pięknych, Ermitaż i inne cenniejsze zakłady; nadto zabrał znajomość z wielą miejscowymi znakomitościami, wyjednał przyniesienie metryk koronnych z Petersburga, ustanowienie sądu głównego i obieralność marszałków.

Bawił podówczas jeszcze w Moskwie król Stanisław August, który upatrzył w Czackim następcę Naruszewicza w kręśleniu dziejów narodu polskiego i dlatego darował mu szacowny zbiór rękopisów do historii polskiej odnoszących się, który króla kosztował przeszło 30,000 czerwonych złotych. Były to też same rękopisma, z których czerpał Naruszewicz, które Albertrandy spisał w Sztokholmie i w bibliotece watykańskiej, tudzież wyciągi z różnych archiwów katedralnych i klasztornych, z metryki koronnej i litewskiej, z kodeksów dyplomatycznych Dumonta i Dregera, z archiwum zwanego sekretne, z papierów rodzinnych Radziwiłłów, Chodkiewiczów, Sapiehów, z metryk pomorskich, szlążkich i t. d. Późniejsze rękopisma, jedną czytelną ręką pisane, kazał być król Stanisław August przepisać z biblioteki Żaluskich, przez co wielką zrobił przysługę historii krajowej, mnożąc i zachowując rzadkie pomniki. Same rękopisma do panowania Stanisława Augusta odnoszące się, stanowiły kilkadziesiąt tomów i składały się po największej części z korespondencji z różnymi osobami w kraju i za granicą; obejmowały nadto dyaryusze sejmowe, rachunki królewskie i inne ważne dokumenta.

Na żądanie generał-gubernatora kijowskiego, wołyńskiego i podolskiego Beklemiszewa, podał mu Czacki obszernie uwagi, w języku francuskim, o handlu w Polsce aż do roku 1792 i o środkach rozwinięcia tej ważnej gałęzi bogactwa krajowego. Następnie, pragnąc ile możności i sam przyłożyć się do spełnienia myśli, która, jak widzieliśmy, od wielu lat go zajmowała, założył towarzystwo handlowe z Józefem Drzewieckim, Michałem Waličkim i Stanisławem Soltykiem 1802 r.

i skutkiem starań tego towarzystwa, pierwszy okręt handlowy, noszący imię Tadeusz Czacki, odpłynął 9go lipca 1803 roku z Odessy do Tryestu.

W roku 1799 w lipcu wierzytelię Protą Potockiego obrali Czackiego swoim pełnomocnikiem w gubernii kijowskiej i podolskiej; potem mianowany prezesem komisji bankowej, umocowanej od trzech dworów, rossyjskiego, austriackiego i pruskiego, do ustanowienia massy czynnej i bierniej upadłych banków Tepera, Protą Potockiego, Blanka i innych, tyle dołożył usiłowań, że wyjednał na korzyść swych mocodawców przeszło półtrzecia miliona dukatów. Obok tych czynności finansowych, przebywając w Warszawie, założył tam z Janem Albertrandym, Stanisławem Soltykiem, Franciszkiem Dmochowskim i innymi Towarzystwo przyjaciół nauk, dla utrzymania języka polskiego w czystości i rozkrzewienia nauk przyjemnych i pożytecznych. W r. 1802 Fryderyk Wilhelm, król pruski, potwierdził wspomniane towarzystwo i dozwolił Czackiemu, zwiędzającemu wtedy w celach naukowych Oliwę, Heilsberg, Gdańsk, Poznań, Gniezno, Kalisz, przejrzyć archiwum tajne krzyżackie w Królewcu. Ze wszystkich zwiędzanych miejsc biegly znawca i niezomordowany badacz zbierał księgi szacowne i rękopisma, zdobywając je pieniędzmi, wymową, a niekiedy i podstępem; jeżeli nie było środka dostania ich, to przynajmniej robił wypisy. I dzięki tej światłej, gorliwej, namiętnej usilności, wiele ważnych pamiątek przeszłości ocalało od zapomnienia, mólów i zagłady, będąc złożone do trzech bibliotek: poryckiej, warszawskiego Tow. przyjaciół nauk i krzemienieckiej, zawiędzających swój początek i najszacowniejsze dary Tadeuszowi Czackiemu. Podróżując po Prusach, pragnął także Czacki zebrać pozostałe pamiątki po nieśmiertelnym astronomie naszym Koperniku, odwiedził jego grobowiec we Frauenburgu i szanowne szczątki jego kości przesłał do Puław (Nowej Aleksandryi), tudzież do zbiorów warszawskiego Tow. przyjaciół nauk.

Wzbogacony w swych podróżach nowymi wiadomościami, zabrał się gorliwie do uzupełnienia wielkiego swego dzieła o litewskich i polskich prawach, którego powtórne sposobił wydanie, i przez szczególne rozprawy przygotowywał się do pisania historii narodu polskiego, — gdy go niespodzianie powołano do nowych obowiązków obywatelskich, mających w całej świetności pokazać jego wielkość, stać się epoką w historii krajowej oświaty i zapewnić mu nieśmiertelną sławę.

Na samym początku bieżącego stulecia przedsięwziętą została w Rosyi reforma szkół. Dnia 8 września 1802 r. ustanowiono ministerium oświecenia i całe cesarstwo we względzie naukowym podzielono na sześć wydziałów. Gubernie zachodnie stanowią jeden wydział, wileński, dla którego 4 kwietnia 1803 r. zatwierdzono uniwersytet w Wilnie, a 18 maja tegoż roku dano szczegółową ustawę dla uniwersytetu i szkół od niego zależnych. Kurator wydziału wileńskiego powołał Czackiego na wizytatora szkół trzech południowych gubernij: wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej. Zawsze gorliwy, gdy chodziło o dobro publiczne, ujrawszy się teraz w ulubionym sobie zawodzie, z największą skwapliwością pospieszył poświęcić mu wszystkie swoje myśli, prace, majątek, życie całe. W końcu maja jeszcze był w Warszawie, w lipcu już rozpoczął swoje urzędowanie, wizytując szkoły wołyńskiej, w gubernii podolskiej i kijowskiej, nie pomijając nawet peczerskiej akademii duchownej, żaden szczegół ani potrzeba kraju nie uszła jego uwagi. Raport zdany przez Czackiego uniwersytetowi z odbytej wizyty szkół, jest w ważnym dokumencie, wysławiającym stan oświecenia we wspomnianych trzech guberniach. Wizytator, z właściwą sobie genialną przenikliwością, zbadał położenie kraju i szkół i śmiało wypowiedział prawdę. Raport jego malował żywo zamęt i nieład w edukacji publicznej, wymagając prędkiej i obszerniej naprawy. Naprawę przedsięwziętą niegdyś jeszcze komisja edukacyjna, doprowadzając, przy pomocy towarzystwa do ksiąg elementarnych, jednostajny wykład nauk w szkołach, oparty na świątliwych i zdrowych zasadach, odpowiednich czasowi i potrzebom kraju. Lecz ustawy komisji, obowiązując ledwie lat trzynastcie (1780—1793), nim się rozpowszechniły i ustaliły, wyrwane przez nieszczęśliwe wypadki, nie mogły przynieść dojrzałych owoców. Młodzież starsza poszła do wojska, reszta wróciła do domów rodzicielskich, nauczyciele się rozproszyli lub zajęli edukacją prywatną; ci z nich, co zostali przy szkołach, niekompletni, przybierając sobie w pomoc tak zwanych dyrektorów, uczyli ledwie niektórych nauk, bez pewnego planu i pożytku. Szkoły liczyły mało uczniów, a i z tych niewielu chciało je kończyć, spiesząc należeć do czynnej społeczności, nim jeszcze nabrali potrzebnego oświecenia do pełnienia wkładanych przez nią obowiązków. Mnożyła się liczba niedorostków mo-

ralnych na urzędach i w życiu obywatelskim. Trzeba było zarządzać spiesźnie, umiejętnie i stanowczo, zaczynając od szkół i wychowania domowego, z których ożywcze płynie światło. Organem pożądaną reformy był uniwersytet wileński, którego twórcy, kurator i pierwszy rektor, sławnej pamięci ksiądz Strojnowski, dołożyli szczyrnych usiłowań, aby wychowanie w guberniach zachodnich oprzeć na światłych zasadach byłej Kommissji edukacyjnej. Usiłowania ich, dzięki znaczeniu i potężnym wpływom ówczesnego kuratora wydziału wileńskiego, uwiecznione zostały pożądanym skutkiem i ustawy Kommissji edukacyjnej, postanowieniem z dnia 18 maja 1803 roku, nadane zostały za normę dla uniwersytetu wileńskiego i szkół jego wydziału.

(Dokończenie nast.)

Kronika tygodniowa.

Już rozpoczął się sąd ostateczny... dwudziestu siedmiu komedyj na konkurs nadesłanych.

Widocznie obawy o niestawienie się współzawodników w dość wielkiej liczbie były płonne; dwadzieścia siedm, to piękna cyfra i jest w czem wybierać, byleby było co. Właśnie o to rzecz.

Sądzę że na dobre będzie powiedzieli parę słów o tym wyborze, a czynię to jako nieinteresowany zupełnie, bo w obecnym konkursie nie jestem ani współubiegającym się, ani sędzią. Może to co powiem wyjdzie na dobro temu co weźmie premium, czego mu życzę z serca.

Rzeczą jest zwyczajną (u nas) że wszystko niemal co się robi, a do czegoś sami nie należeli jako współdziałacze, towarzysze, stronnicy, lub pod jakim bądź innym tytułem, jest źle zrobione.

Daje się to widzieć we wszystkiem.

Niech cię ukazuje jakie nowe pismo, choćby wszelkimi siłami starało się odpowiedzieć potrzebom czytających, tysiące zaraz głosów powstaje przeciw niemu.

Toż samo z jakim bądź wystąpieniem publicznem, pierwszą myślą rzuconą, zamiarem w czyn wprowadzonym.

Niech się utworzy spółka handlowa z obszerniejszym zakresem działania, ważniejszy jaki zakład przemysłowy, towarzystwo jakie lub instytucja, zaraz krzyki: a na co to? a dlaczego to?

Wynajdują natychmiast tysiące rzeczy ważniejszych i pożyteczniejszych do uskutecznienia. Toż samo jeśli ktoś powie szczerze zdanie swoje, celem zaradzenia krajowym potrzebom i wymaganiom.

Zdaje się jakby każda indywidualność z ludności kraj nasz składającej, gniewała się o to, że ktoś do czegoś przystępując, nie prosił jej o radę i mściła się za to nad nim.

Naturalnie wszystkie te zawistki, gniewy, zemstki, urządzone chórami, mają swoich chorowodów, co za innych głos podnoszą, a krzyczą dobrze, żeby się choć w części odemścić do krzyki w innych razach przeciwko nim samym wymierzane.

Jesteśmy trochę podobni do służących owego magnata, który, jak skoro z dwóch z nich był niezadowolony, przywoływał ich przed siebie i rozkazywał jednemu dać drugiemu w twarz. Tamten oddawał, a im więcej bolało, tym bardziej złościł się obaj, tłukli się zapamiętale, tak iż często siłą trzeba ich było rozbrajać.

I wychodzili z tej walki zsiniali i pokaleczeni.

A jednak jeden do drugiego nie miał żadnej pretensyi i tylko mścił się na swoim towarzyszu, bo nie mógł na kim innym złości swojej wywrzeć.

Owóż konkurs na komedya, w drobnym swoim zakresie, nie wyszedł z pod ogólnej zasady.

Do tej pory były trzy sądy, a każdego z nich rezultat został ogólnie prawie potępionym.

Czy czwartą szczęśliwszym losom ulegnie?

Daj my to Panie Boże, ale sądząc z przeszłości, považamy się o tęp wątpić.

Jeżeli nie będą źle o tęp pisać, będą źle mówić, co jeżeli nie w skutkach, to w zasadzie zawsze na jedno wyjdzie.

Ktoś odezwał się ze zdaniem, które potem wielu innych powtórzyło i powtarza: „Nie najlepszą, ale dobrą komedya sędziowie uwiecznić powinni.“

Owóż to zdanie, które niemal trzydzieści razy czytaliśmy pompatycznie i bez żadnych dalszych komentarzy powtarzane, wydaje nam się bezzasadnym, tak jak wiele innych zdań prosto u nas na wiatr rzuconych. Cóż to jest ta *dobra* komedya, ten ideał komedyi, o który się dopraszają?

Czy ta która się podoba estetykom, nieuwzględniającym często sceniczności, bo nawet zwykle sądzą przed przedstawieniem?

Czy ta która się podoba artystom, dla których właśnie w wyrzeczeniu sądu sceniczność najważniejszym i głównym prawie jest warunkiem?

Czy ta która się podoba publiczności, mającej pod tym względem zupełnie odrębne gusta i mijającej się często z sądem krytyków?

Cóż ma stanowić tę *dobroć*?

Czy sztuka pisarska, czy tendencja, czy dowcip, czy moralność, czy pochwycenie cech głównych towarzystwa, czy odpowiadanie potrzebom czasowym, czy zadowolenie wiekowych wyobrażeń, czy trzymanie się dawnych arcywzorów, czy rzeczywista oryginalność i utworzenie nowych dróg dla sztuki, czy wreszcie połączenie tych wszystkich przymiotów, co jest po ludzku mówiąc, *niepodobnem*?

Każdy kodeks praw ma swoje przepisy, starannie i z wielką ścisłością oznaczone. A jednak niejednokrotnie, przy sączeniu ważnej jakiejś i zawitej sprawy, sędziowie w wielkim są kłopotcie, a adwokaci w tymże samym kodeksie znajdują tysiące rozmaitych zastosowań, każdy na swoje strony.

Cóż dopióro, kiedy przychodzi rozsądzać sprawy żadnym kodeksem nie oznaczone?

I któż to wywiódł ten ideał, do którego *dobra* komedya ma się zbliżyć? — Któż na nią oznaczył zasady?

Wszak o najgłówniejszą może z tych zasad, czy sztuka jest dla sztuki, czy dla wpływu jaki wywiera, już od wielu lat estetycy całego świata upartą toczą wojnę, i dotychczas spór jeszcze nierozstrzygnięty, a cóż dopióro o inne.

Złą komedya poznac łatwo, choć i to nawet niezawsze na czasie, chyba że będzie zupełnie nieudolnym utworem, bez żadnego pisanym talentu; ale *dobłą*?

Powiedzą: Fredro, Fredro się wszystkim podoba, Fredro jest ten wielki wyraz, owo *sanctum nomen urbis*, którym się wszyscy zasłaniają i do którego wysokości każdy nowy pojaw chcą domierzać.

I słusznie. Fredro jest pisarzem z ogromnym talentem dramatycznym, pisarzem, który mógłby przynieść zaszczyt nie tylko naszej literaturze, tak mało zasobnej w tego rodzaju utwory, ale nawet każdej innej europejskiej.

Ależ wy wszyscy, panowie, co teraz tak wysoko cenicie Fredrę i innych za wzór go stawiacie, chciejcie sobie przypomnieć, dlaczego ten znakomity komedyopisarz oddawna już przestał tworzyć, a przynajmniej oddawać swoje utwory, jeżeli ma jakie nowopisanne, (o czem, nawiasem mówiąc, nie wątpimy), pod sąd publiczny.

Oto dla krytyki, która wówczas właśnie kiedy wydawał na świat najlepsze swoje komedye, srożyła się na niego tak właśnie albo więcej jeszcze, jak to czyni na tych, co zdaleka w jego ślady dążą.

Proszę przeczytać recenzje ówczesne. Odmawiano Fredrze talentu, nawet zdolności więszowania, nazywano go niemoralnym, ciągnącym za włosy dowcip, nieumiejącym zbudować planu ani intrygi, biorącym postacie do swych komedyj z fikcyjnego jakiegoś świata, przesadnym, karykaturalnym, urągano jego śmiałości, że po Zabłockim odważył się wziąć za pióro, słowem, nie było zarzutu, którego by mu nie czyniono, nie było plagi krytycznej, przez którąby ten męczennik literacki nie przeszedł, przez ciąg trwania czynnej swojej pracy dla teatru.

I cóż tu gadać o przeszłości? Świeżo nawet autor historyi piśmiennictwa, który z punktu wyłącznie historycznego zapatruje się na literaturę, powtórzył większą część tych zarzutów, potępiając nieszczęśliwego Fredrę ostrym a stanowczym w kilku wyrazach zawartym sądem.

Ci jednak którzy się nie z historycznego stanowiska na prace jego zapatrują, obecnie oddają mu sprawiedliwość.

Ale dlaczegoż to?

Dlatego, że przestał pisać, a przynajmniej publikować swoje utwory.

Któż mi więc zaręczy, że za dwadzieścia lat nie zmieni się znowu punkt zapatrywania się, i że to co dzisiaj jest ostro potępiane, nie wyjdzie wówczas na wierzch.

I to tylko co do *złych* utworów, a cóż dopióro co do dobrych, o których każdy mówi, lecz na które recepty nikt dotąd nie dał.

Bo doprawdy, zdawałoby się że dla każdego z tych panów trzeba by pisać podług recepty: zmień tylko trochę porządek, a ze zbawionego lekarstwa, zrobi się trucizna.

Samo z siebie się rozumie, że sędziowie do rozstrzygnięcia konkursu wybrani, komedye które według ich wyobrażenia są złe, to jest nieodpowiadające wymaganiom sztuki, odrzucają na bok.

Ale czy ta, którą oni jako dobrą wybiorą i za taką uznają, będzie istotnie dobrą, to znowu inne pytanie. Będzie może ona dobrą dla nich, a złą dla innych, nie należących do grona sądu.

Będzie może złą dla artystów, nie znajdujących dość pola do rozwinięcia talentu swego w rolach tej sztuki.

Będzie może złą dla publiczności, której zdanie, jako objaw opinii ogółu, niezależne często od zdania krytyków, także coś zaważyć winno.

I znowu zarzuca sędziom, że tylko *najlepszą* sztukę ze *złych* wybrali.

I będzie ciągle w kółko toż samo.

Słyszałem takich, którzy już z góry potępiają wybór sędziów, nie wiedząc jakim będzie. Bo przy tak rozlicznych, sprzecznych, i fantastycznych nawet warunkach, jakie tu i owdzie w krytykach drukowanych u nas o napisaniu dobrej komedyi wygłaszano, nie wiem nawet która sztuka mogłaby się ostać.

Ale dość o tęp....

Narzekaliśmy przez przeszłe lata dla brak zimy, doczekaliśmy się jej nareszcie. A nasza nas nie żartem: mrozy trzymają ostro i nieprzerwanie, śnieg leży wszędzie, pola jak pod pierzyną, da Bóg, będzie urodzaj na rok przyszedł.

Ale za to niemają to jest klęską na ubogich, którzy przy obecnej drożyznie na drzewo, smutne nieraz przechodzić muszą próby. Towarzystwo dobroczynności powiększyło wprawdzie w tym roku ilość drzewa corocznie ubogim rozdawanego, ale czyż to wystarcza?

Z drugiej strony z różnych punktów donoszą o licznie pojawiających się wilkach; jeden nawet z korespondentów naszych pisze nam o smutnym wypadku w tych dniach wydarzonym, za którego autentyczność ręczy.

Pewien młody obywatel w gubernii plockiej, wracał od swojej narzeczonej do domu późno w nocy. Jechał sam z woźnicą, sankami zaprzężonemi czterema dzielnymi końmi. W sankach miał dubeltówkę nabitą.

Droga wypadła przez zarośla. Na pół drogi może, o kilka wiorst od wioski gdzie obywatel mieszkał, zjawilo się niewielkie stado wilków, które z początku zwolna i nieśmiało zaczęło się do sanki przybliżać.

W panu *** odezwała się dusza myśliwska.

Porwał za dubeltówkę, dał strzał, i wilk jeden z najbliższych biegnących padł na drodze. Reszta uciekła.

Widząc że w okolo już pusto i ciało wilka leżące nieopodal, pan *** kazał się zatrzymać woźnicy i zawinięty w futro zsiadł z sanek, z zamiarem wciągnięcia ciała nieżywego wilka na sanki.

Była to wilczyca, ale żyła jeszcze, bo kiedy pan *** wziął ją za tylne nogi, żeby do sanek przyciągnąć, zawyla żałośnie i w mgnieniu oka podrożnego obokoczyło ze wszech stron stado wilków, liczniejsze jeszcze aniżeli przy pierwszym pojawieniu się swoim.

W téj chwili ustraszone konie ruszyły galopem i pociągnęły sanki drogą ku wsi, pomimo wszelkich usiłowań woźnicy, żeby je wstrzymać i nieść pomoc nieszczęsnemu swemu panu.

Wówczas stado wilków rozdzieliło się.

Część pozostała na miejscu, a część pobiegła za woźnicą i końmi, uciekającemi w największym rozpędzie.

I jak woźnica zapewnia, na dłuższą odległość drogi byłiby go dogonili pewnie, bo dopióro we wsi pogoni ustała, a wilcy tuż tuż byli za sankami.

Trudno już było nieść pomoc panu ***; część jednak gromady wyszła na ratunek.

Znaleźli tylko szczątki poszarpanego futra i kilka strzępów innej odzieży, rozrzuconej tu i owdzie.

Już dawno nie było słyhać u nas o podobnym wypadku.

Przed rokiem jeszcze mówiliśmy o organizującym się projekcie utworzenia Towarzystwa wsparcia podupadłych artystów, literatów i t. p.

Dziś, jak nas upewniano, projekt ten jest już podobno ukończony i zamierzają go w czyn wprowadzić.

U nas potrzebniejsze to może niż gdziebądź indziej; literatura bowiem i sztuki, tak mały tu stosunkowo zapewniają zysk dla tych, którzy im się poświęcają, że niektórzy z nich, gdy choroba zniszczy zdrowie, a sił braknie do pracy, bardzo łatwo nędzą mogą być zagrożonemi. Czyżmie przeto jest obowiązkiem nieść im pomoc i obronę od ostatecznego upadku, jeżeli nie współbraci i towarzyszy? A przytém znana jest dobrze nieogledność większej części artystów i literatów, ich niedbałość o dzień jutrzejszy.

Sama zresztą popularność, która stanowi główną podporę ich zysków, zbyt szybko przemija, idzie w zapomnienie. Lada co jej szkodzi. Często blahy powód wystarcza publiczności, ażeby odstrychnąć się od ulubionego dawniej autora.

Przyjdzie inny, sympatyczniejszy na dobre, który może będzie umiał lepiej ugodzić w potrzeby chwilowe, i stary spręt w kąś się rzuca, a nowy zajmuje jego miejsce, czasem z pozwoleniem noszenia munduru, ale zwykle bez pensyi wysłużonej.

Mówimy tu o ogóle ludzi żyjących z pióra lub artystycznych zdolności, o nas wszystkich pracownikach dnia i chwili, których prace mijają tak szybko i toną

w zapomnieniu, jak dnie, które im dały życie, a nie dotykamy wcale tych stromych wyżyn talentu, na których zamieszkują potęgi mogące przetrwać dwadzieścia, trzydzieści lat, a może i więcej, bo wiekowych dzieł teraz mało, bardzo mało.

Żółkowski ozdrowiał. Wielka to i ważna nowina dla Warszawian.

Jak słyszeliśmy, Majątek albo Imię jest pierwszą nową sztuką, w której znakomity nasz artysta ma wystąpić.

Pan Wodzyński, korespondent kijowski Gazety Warszawskiej, który przez pewien czas bawił u nas, zabrał podobno z sobą kilka nowych sztuk dla teatru kijowskiego.

Na prowincji mnóstwo amatorskich teatrów, przedstawionych już, albo mających się przedstawić.

KOŚCIÓŁ PANNY MARYI

W GDAŃSKU.

Krzyżacy, jak Mameluki lub Janczary, zbierani z rozmaitej narodowości, nie przywiązani do ziemi którą władali i nawzajem nienawidzeni od swoich poddanych, zmuszeni, ku pomocy mieczowi, stawiać warowne grody i zamki, odzwierciedlili w ponurych, poczerniałych murach, umyśle srogie, mordem i pożogą tchnące i napiętnowali je taką zgrozą, że patrząc na malborskie bastiony, zda się iż z nich wieje postrach na Prusy i Litwę. Zda się że z głębokich podziemi wydobywa się jęk mordowanych branców, a z ponurych blanków:

„Dziewica stąpa kroki złowiesz-
[czemi,
Na sioła zamki i bogate miasta,
A ile razy krwawą chustką ski-
[nie,
Tyle pałaców zmienia się w pu-
[stynie,
Gdzie nogą stąpi, świeży grób
[wyrasta.

Architektura ich, choć na gotyckich porządkach kształcona, przetworzona jednak myślą napelnioną krwawymi widmami, pragnęła olbrzymią mocą murów i głębokością foss osłonić się przeciwko sprawiedliwości Boga i zemście ludzi. Architekt też krzyżacki, spragniony cienia, szukał ponurych sklepień, łuków i niebotycznych baszt; nie wiedząc nawet o tym, upostaciował swój typ w kamieniu i stworzył tak zwany styl krzyżacki.

Mnóstwo krzyżackich gmachów leży dziś w ruinie, wiele zamienionych zostało na magazyny i więzienia; jedne tylko kościoły pozostały w tym samym stanie, w jakim je widziały komtury śpiewając psalmodyą, i kapelani spowiadający na śmierć skazanych. Do najpiękniejszych z nich należy bez zaprzeczenia świątynia panny Maryi w Gdańsku.

Na brzegach Bałtyku, gdzie zbrojny mąż wschodu zatknął symbol żałoby dla podbitych ludów, białą z czarnym krzyżem chorągiew, tam wyrósł w niebiosy kamienny krzyż i przetrwał wieki, patrząc na burzę niosącą zniszczenie i śmierć. Monarchowie nasi klęczeli na jego płytach, kości naszych ojców usypały mu z swoich prochów podstawy; wszystko minęło przed nim jak sen, a on nieporuszony i martwy, uroczyście patrzy na znikomość dzieł ludzkich.

Ludolf König, wielki mistrz Krzyżaków, kazał Ulrichowi bratu swego zakonu wypracować plan, podług którego kościół panny Maryi w 1343 r. założony, w 1460 lat później przez w. mistrza Helzla był otwarty i katolickiemu klerowi oddany.

Gmach ten, w formie łacińskiego krzyża, uwieńczony różnej wielkości wieżami, przedstawia najpiękniej-

szy, a zarazem najstarszy pomnik gocko-krzyżackiej architektury.

Co do wielkości, liczy się go za piątą po bazylice św. Piotra w Rzymie, powierzchnią zaś równy jest kościołowi św. Stefana w Wiedniu i słynnej katedrze w Medyolanie.

Podstawa jego tak w nawie głównej, jakoteż w dwóch bocznych, mierzy 49,200 stóp kwadr.; długość największa wynosi stóp 358, szerokość 248, wysokość zaś wieży od dołu aż do szczytu 328.

Zarys tej świątyni od zewnątrz jest taki:

Gładkie, bez żadnych ozdób ściany, po śmiało rzucanych skarpach pną się do góry; okna olbrzymich rozmiarów, bez opasek i ozdób, rozcinają w surowych, ostrych konturach zezerniałe ich płaszczyzny; koronada z blanków opasuje spiczaste dachy, a po nad nimi

nich, w najładniejszym rysunku, płyną lekkie jak strop niebios sklepienia. Światło z kolorowych okien maluje ściany w złote, lazurkowe, purpurą przetykane rozety i tęczę, a pomrok z odbitych cieni pokrywa płaszczyznę żaloby pomniki, grobowce i uzupełnia romantyzm średniowieczny.

Wpatrując się w te mile, zadumają tchnące przestrzenie, myśl tonie w marzeniach, spoczywając naprzemian na postaciach poważnych starców, zakutych w zbroice młodzianów i powiewnych dziewic. Wszystko to przybiera życie: zda się słyhać łoskot kruszonych kopij, szcęk mieczów, okrzyki na cześć zwycięzców, śpiewy dziewcząt... A wtém ponury jęk dzwonu żalobnym echem przerywa dumania, widziadła nikną i wraca rzeczywistość. Po wyjściu z świątyni, zda się że słońce zawiele światła rozlewa, a tłumy goniące za handlem i

zyskiem niemile sprawiają wrażenie, bo dusza przepelniona myślą o Bogu i wieczności, inném na świat spogląda okiem.

Główna wieża posępna, bez kondygnacyj i zwężeń, zakończona jest tarasem i galerią. Widok ztąd prześliczny.

W dole Gdańsk ze swemi ulicami, napiętnowanymi średniowiecznym charakterem. Bramy, któremi wjeżdżali zwycięzcy z pod Grunwaldu i Tannenbergu, jaśnieją jeszcze tarczami herbów Korony i Hanzy. Dalej piętrzą się szczyty hanzeatyckich pałaców i dawnych królewskich zamków; król Zygmunt August w złocistym pancerzu powiewa chorągwią z ratuszowej wieży; zegary dzwonią kuranty; lud przebiega obok wysłanych wodotrysków; maszty okrętów łączą się z zamglonym firmamentem — a ramą tego wszystkiego zielone, pełne lasów Pomorze i śnieżystą pianą bielejący Bałtyk; sklepieniem zaś jasne niebios, zalane potokiem słonecznego światła.

Wina Wandalów cięży nad gminami protestantów, w czasie bowiem 30-letniej wojny zniszczyli najpiękniejsze freski, posagi i ozdoby swoich kościołów; jeden tylko Gdańsk, czy to szanując sztukę, czy obawiając się katolickiej Polski, pod której został panowaniem, zachował swoje świątynie w całości, i temu to zawdzięcza kościół Panny Maryi bogactwa jakie posiada w drogocennych utworach złotnictwa, rzeźby, malarstwa, w książkach i różnych kościelnych sprzętach.

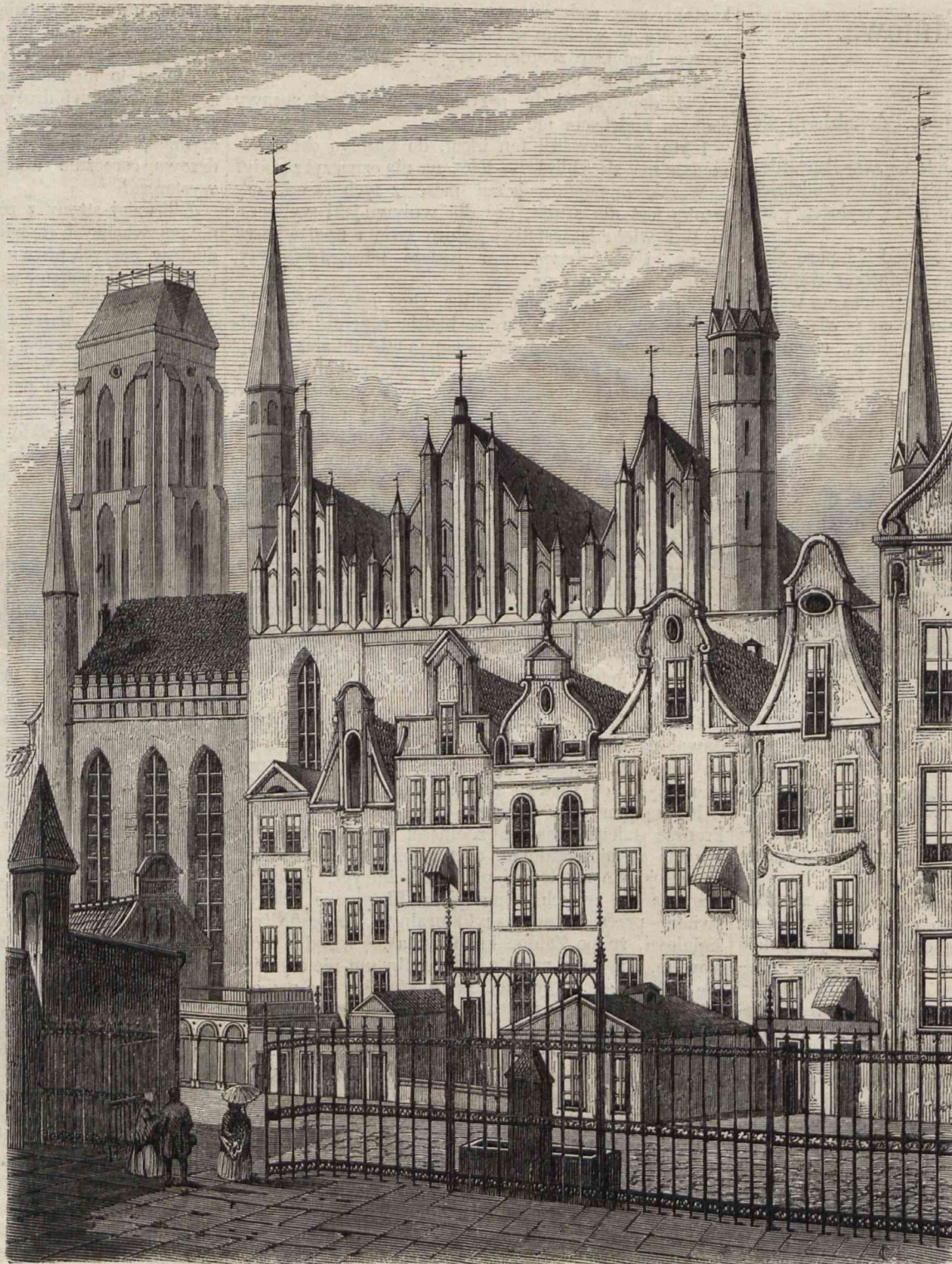
Biblioteka jego liczy wiele dobrze zachowanych mszałów; malowane złotem, szafirom, karminem, są bibliograficzną osobliwością, robota ich bowiem sięga XV i XVI stulecia. Są tam

księgi Pankracego Kleina, apostoła gdańskich protestantów.

Skarbiec liczy bogaty zbiór relikwiarzy, monstrancji, kielichów, ornatów i opon z materyj wschodnich, na Saladyńie sultanie Ikonium zdobytych, tak przy najmniej rysunek materyj i napisy arabskie świadczą. Lubownicy starego malarstwa, znajdują tu wiele obrazów byzantyńskiego stylu, o złotym tle, bez ziemi i nieba.

Wszystkie te przedmioty sięgają czasu Krzyżaków, i przez nich zostały tu nagromadzone. Z pomników, grobowiec Gillensternów z rodziny Wazów, nietylko sztuka, ile historią mieszczących się w nim prochów zajmuje.

Z ołtarzy dwa są wysokiej wartości: jeden wielki, cięty przez Holbeina w drzewie; drugi mniejszy, mieszczący w sobie obraz sądu ostatecznego. Ostatni, ja-



ZEWNETRZE KOŚCIOŁA PANNY MARYI W GDAŃSKU. (Rysował na drzewie Cegliński.)

jedenaste wieżyc ulatuje w wysokie przestwory, rzucając szerokie cienie na pojedyncze części kościoła. Dziesięć furt prowadzi do wnętrza krucht i innych kościelnych przedsieni; bogate ich w kamieniu kute archiwolty, oraz konsole z posagami i wypukłorzeźby nad ich ostrołukami umieszczone, zalecają się pomysłem i dobrą wykonaniem.

O ile zewnętrzne kształty zdają się grozić ruiną i przytłoczeniem widza ciężkimi massami, o tyle, jakby dla sprzeczności, zachwyca go wnętrze naw kościelnych. Smętny spokój rozpiął tu swoje skrzydła zamroczone, gotycka fantazja rozwiła uludne widziadła i rzewnie przemawiają ciche twarze świętych i błogosławionych niebian.

W długich szeregach w lewo i w prawo wznoszą się rzędy smukłych kolumn, kapitele, wieńczone w liście i kwiaty, szlą z siebie tysiące linii na kościół, a po

ko zabytek bardzo dawny (bo w 1367 r. przez Memlinga, mistrza z Lubeki, robiony), oraz jako ujęcie pędzlem najsubtelniejszych ludzkich namiętności, nabył po Niemczech i Francji rozgłosnej sławy.

Prócz dwóch organów, astronomicznego zegaru i odległej starożytności dzwonów, nie posiada już nic więcej świątynia Bogarodzicy, czémby wędrowca zatrzymać mogła. Kończąc przeto jej szkicowe opisanie, dodajemy jeszcze tylko, iż w r. 1523 Jakub Klegge, syn krawca, podczas niedzielnego nabożeństwa w kościele P. M., wszedłszy na ambonę, tak gwałtownie powstał przeciwko duchowieństwu katolickiemu, że to, chroniąc się przed wzburzonym ludem, opuściło Gdańsk, i wróciło dopiero wówczas, gdy Zygmunt I banicją i mieczem położył koniec religijnemu zaburzeniu (1526 r.).

Lecz w trzy lata później nowy apostoł luterński, Pankracysz Klein, wystąpił z reformowaną nauką, i pomimo że królowie wymagali od rady miejskiej wydania kacerza, jednakże ta, widząc pobbazanie Zygmunta Augusta dla nowego wyznania, wniosła do niego prośbę (1557) o zupełne oddanie świątyni Panny Maryi na odprawianie nabożeństw protestanckich, na co też król przyzwolił.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Pisma Gabryeli.

Im bogatsza literatura, im rozwój jej zgodniejszy z duchem narodu, z którego każdy pisarz powinien czerpać dla siebie zdrowy pokarm i zasilek, tém większa liczba zjawia się dzieł, które przeżywszy dzień swego narodzenia, przechodzą do skarba narodowej oświaty. Literaturę narodu nazywam tylko te dzieła, które sprawiwszy wpływ na dawniejsze pokolenie, zjawiają się po raz wtóry, aby wpływ ten powtórzyć na pokoleniu następnym; wszelkie zaś wyroby imaginacji bez rodzinnego ducha, choć głośne chwilowo, ale niedość zrosnięte z ziemią na której się zjawiały, niedość przejęte zdrowymi sokami, by z każdą wiosną odradzać się mogły, uważam za twory chwilowych tendencji, obchodzące społeczeństwo w pewnych tylko, przemijających warunkach bytu.

My pochłubić się możemy dziełami noszącymi na sobie, w każdej epoce naszego istnienia, cechę ducha narodu: okoliczności też minęły, warunki bytu się zmieniły, a dzieła te zawsze są pojmovane, zawsze upragnione od ludzi jednakowo czujących z autorami z przed wieków.

Pominąwszy skarby literatury zygmuntońskiej, która nigdy narodową być nie przestanie, odwróciwszy się od literatury ostatniego upadku, rozwiniętej na tendencjach chwilowych, osobistych nieraz, a więc przemijających, pragnęlibyśmy, dla lepszego rozwinięcia swęj myśli, przebiec literaturę naszych czasów i wykazać, że wieki następne z dzieł będą mogły odtworzyć sobie cały naród dzisiejszy. Lecz w takim przeglądzie musielibyśmy pominąć twory najważniejsze, a ograniczyć się na drugorzędnych, które tylko pod opieką pierwszych zajdą za dni nasze; powiedzielibyśmy rzecz niejasno, a więc niekorzystnie dla swęj myśli i dla ogółu. Wolimy przeto wprost przystąpić do dzieła będącego przedmiotem tego artykułu.

Spis rzeczy zawartych w czterech tomach pism Gabryeli, wskazuje: powieści, listy, kwesty; a ja, nie zgadzając się na te wszystkie podziały twórców je-

dnego i równej mocy ducha, całość nazwałbym zbiorem rymowanej i nierymowanej poezji.

Jakkolwiek Gabryela niektóre swoje utwory zatytułowała powieścią, jednak jesteśmy pewni że nie ma najmniejszej pretensyi stanąć w jednym szeregu z naszymi powieściopisarzami; powieść, tak jak dramat lub komedia, ma swoje formę, swoje warunki, swoje przepisy, któremi gardzić nie można, jeśli rzeczwiście z układu, z obrobienia, nie zaś z tytułu tylko, utwór ma być powieścią. Dlatego też, nie wyprowadzając żadnej paraleli między Gabryelą a naszymi powieściopisarzami, nie mogę również jej odszukać pomiędzy autorką polską, a znakomitą autorką francuzką panią Sand, jak to uczynił J. I. Kraszewski w numerze 344 Gazety Codziennej z roku zeszłego. Pierwsza jest bez żadnych ograniczeń poetką, druga

lę, pomimo mężkiej siły i głębokości myśli, nieradko się domyślił że czytasz rzecz kobiecą, gdy przeciwnie J. Sand wszędzie jest mężczyzną z krwi i kości.

Gabryela więc jest samodzielną w swych twórcach, to jest uprawiając umysł, kształcąc się na wszystkim co należy do krainy ducha, pozostała sobą, nie uległa żadnym wpływom; bo duch jej, zanim poszedłna obce niwy, rozlubował się wprzódy w ojczystych polach; bo zanim książką i obcą myślą otoczyła się, już umiała kochać swoich, już z pomocą światła, jakie niebo wlewa w serca wybranych, z przeszłości wchodziła w przyszłość naszą. Gabryela najprzód była poetką, najprzód poczuła że w pierś swęj ma miłość i wiarę, a potem dopiero oceniła swój talent, potem dopiero zrozumiała że słowem powinna przewodniczyć narodowi; ludzie jeszcze nie wiedzieli o jej zdolnościach, a bliżej znali już jej serce; jeszcze nie przemówiła głośno, a już w skrytości i w pokorze ducha, ze swoich boleści i nadziei spowiadała się Bogu....

Nieraz nad tém myślałem, dlaczego u nas tak mało prawdziwych wieszczów, dlaczego w życiu powszednim tak mało, coraz mniej poezji. Poeta-twórca zaledwie prześpiewa razy kilka, już się męczy, zużywa, rzuca lirę, poziewa i narzeka, a zapytany dlaczego nie tworzy, odpowiada że albo tworzyć nie ma dla kogo, albo że bolesć zabiła w nim natchnienie!.....

Wszyscy zajęci bytem materialnym, wszyscy rozglądają się dokoła, szukając celu życia, a znalazłszy go, czynią rozbrat z całą swą przeszłością i patrzą tylko w przyszłość, lecz w przyszłość wygodną i ciepłą, wyłącznie dla siebie. Życie z dnia na dzień, obojętność na to co minęło, nieczułość lub szyderstwo dla tego, co nas w młodości zachwycało, tchórzostwo w walce z bytem: oto przyczyny dla jakich społeczeństwo nasze nie zna poezji i głupowato z nięj się naśmiewa.

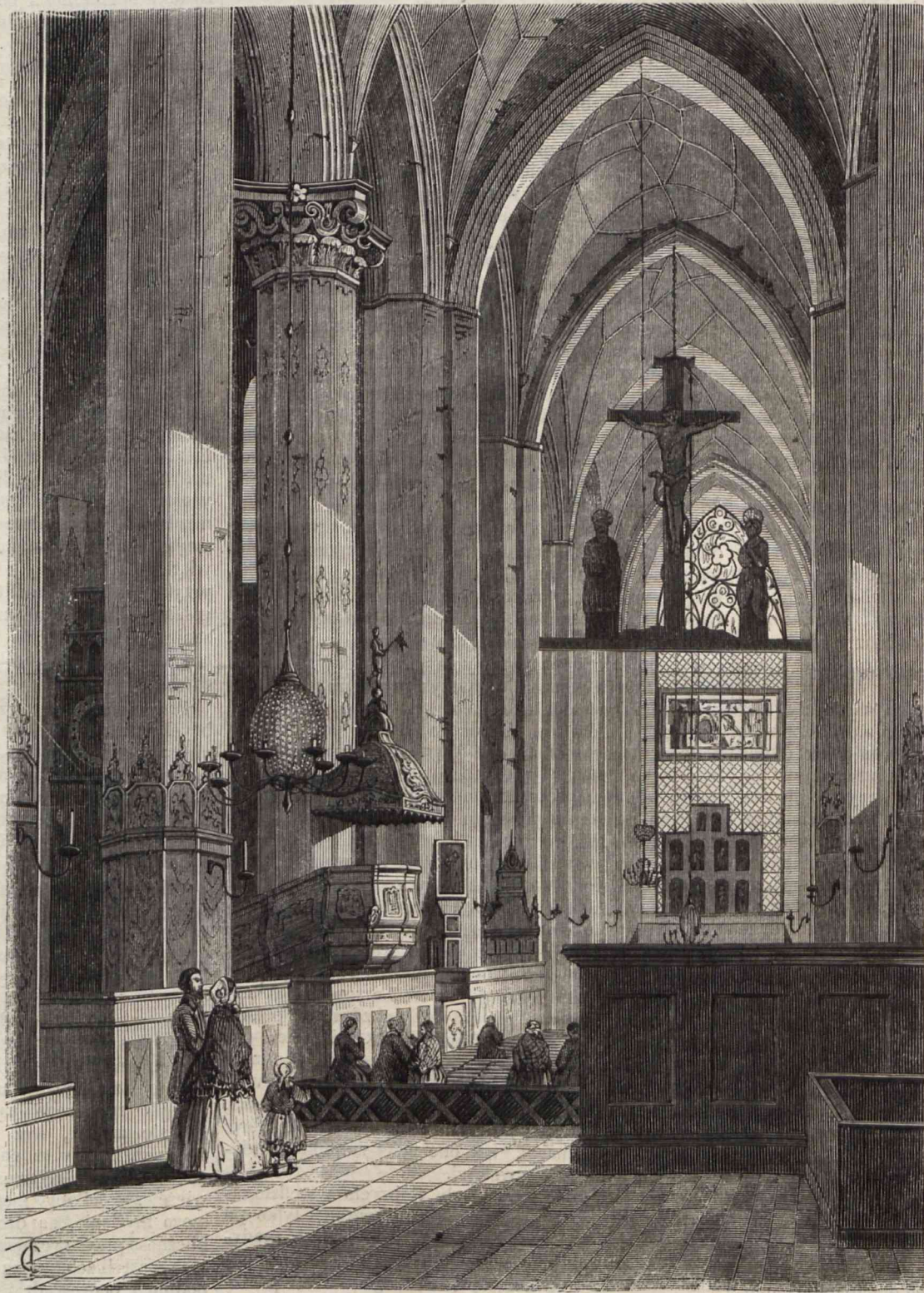
Prawda, że ten kto tworzy, patrzy w serca otaczających go, tam się odżywia, tam nabiera sił do myśli; lecz dla ogrzania się nie siada nikt przy wygasłym ognisku, dla nabrania sił nie wchodzi się w grono ludzi, od których zamiast pokarmu dla ducha, zdobyć tylko można wiedzę jak żyć, aby nie czując, nie cierpiąc, nie pracując, mieć chleb, myśl swobodną i sen błogi.

Dziś, w pierwszych chwilach przemawiania do ogółu, albo chęć popisu, albo gorączka kieruje piszącymi; nie czują powołania, lecz wiedzą tylko że talentem mogą zadziwiać; nie mają z początku pokory, to też w końcu swego zawodu najczęściej upadają.

Roztkliwiają nas lub zadziwiają rodzinne talenta, ale cóż z tego, kiedy jedni bez hartu

duszy, bez wspomnień żadnych, bez silnej wiary, rozplywają się w tklivości i chorując na liryzm, nie potrafią śmiało spojrzeć ziemskiemu dramatowi w oczy; a drudzy, pracując wiele, brzmia głośno, wywołują podziw, lecz poezją swą więżą na kartach książki, która nigdy się nie odbije w sercu ludzkosci.

Kochanowski, po stracie Urszuli, nie zaparł się poezji, bo nie zaparł się Boga, bolał, a jednak śpiewał jak chrześcianin, bo miał wspomnienia, do których, gdy go obecność zdradziła, przyłgnął duszą całą; i Brodziński ręką zakrywał ranę bolesną, a usta otwierał natchnieniem; i inni.... o ileżym ich potrafił przytoczyć!.... mieli w sercu miłość, mimo ciągłych zawodów, mieli wiarę, mimo przeciwności: bo modlitwa była ich wsparciem, bo sprawy ziemi podnosili do nieba...



WNĘTRZE KOŚCIOŁA PANNY MARYI W GDAŃSKU. (Rysował na drzewie Cegliński).

znamy przedewszystkiem jako powieściopisarkę, która formę powieści wyrobiwszy z najwyższym artyzmem, użyła jej do swych poetycznych, wybujałych lub naturalnych, spokojnych lub namiętnych utworów. W polskiej poezji widzimy od początku do końca jedną wiarę, jeden zapał, równą wszędzie słodycz; w francuzkiej spostrzegamy kilka zmian, stanowiących epoki przejścia, a w ostatniej z nich, może najszlachetniejszej, choć niekoniecznie najobfitszej w arcydzieła literackie, możebyśmy na upartego znaleźli punkt właściwy, by porównać z sobą te dwie znakomite kobiety. Polka jest wszędzie sobą, bez względu na osoby wprowadzane do kręślonch obrazków; Francuzka swoje ja gubi i co chwila zmienia, wcielając się duszą całą w coraz nowe a mistrzowskie postacie swych olbrzymich utworów. Czytając Gabrye-

W Gabryeli mamy poetę, który raz stanąwszy na drodze nauczania, już z niej ani na chwilę nie zszedł; taki tylko wieszczę zdobywa sobie miłość i uznania powszechne.

Pamiętamy, czasy to dość dawne, jak poezji Gabryeli wszyscy uczyli się na pamięć, zachwycali się jej słowem, pocieszali niemi wzajemnie. Był to hołd oddany i talentowi, i duszy poetki, była to ucieczka do słów jej prostych a namaszczonej. Taka miłość ogólna, to najwyższa nagroda dla serca które cierpi, a jednak nie upada.

Co tak zostało przyjęte ulegać nie powinno drobniejszej krytyce, od której i my usuwając się, robimy tylko przegląd.

W pierwszym tomie znajdujemy poezję rymowaną, z której Maina i Kościej, Przekleństwo, Lilia, należą do większych rozmiarów utworów. Powieść Maina i Kościej, mogłaby być wzorem dla niektórych, jak pisać poemata, wymagające znajomości kronik, rozległych studyów, gromadzenia szczegółów. Poetka przyznaje się, że oprócz Naruszewicza, Rakowieckiego i kilku wzmianek Slotwińskiego, w przedmiocie bóstw i religii słowiańskiej, nie więcej nie czytała, polegając raczej na własnym uczuciu i wierząc że duchem zdoła się wkraść w świat pogański i bez książek wszystko zobaczyć na jawie. Gabryela poniekąd miała słusność; szczegółowe badania dla poety o tyle są potrzebne, o ile nawzajem dla badacza potrzebną jest poezja: odtwarzając przeszłość na zasadzie znajomości najmniejszych szczegółów, będziemy tylko wierniejszymi opisywać to, cośmy krytycznie w kronikach odgrzebali, i wówczas w pracy naszej nie będzie nic własnego, nic odgadnionego, a nawet tło ogólne nie będzie wynikiem ducha poety. Wówczas piszący (bo już nie poeta) może zarobić na imię znakomitego artysty, który potrafi unosić się na zimno, porównywać retorycznie, rymować wspaniale, — lecz tylko rymować.

Podług nas, poeta, czy w powieści, czy w dramacie, powinien to tylko opiewać, co się już odleżało w jego duszy, nad czem niegdyś robił staranne studya, których jednak drobniutki znikły na korzyść ogólnego obrazu. Nigdy bowiem nie zachwycim się krójbrazem na przykład, jeżeli zamiast ogólnych rysów, zachowamy w myśli skład gruntu, wielkość kamieni, ilość drzew, bo w takim razie zostając zanadto pod naciskiem szczegółów, podziwiać będziemy nie majestatyczność przedmiotu, lecz prawo natury, przez które z części złożyła się całość.

Nauka konieczna potrzebna, o tém wie każdy, lecz nie każdy ze swjej nauki może natychmiast korzystać; często powinna ona spoczywać w nas przez długie lata, a gdy już z niej zostanie to, co rzeczywiście potrzebne dla naszego umysłu, a uleci wszystko dla niego zbyt, wówczas wolno nam z korzyścią zbierać dojrzałe owoce z suchych, mozolnych szperań. W tym punkcie widzimy jedną z przyczyn niepowodzenia naszych młodych poetów, w ich dramatach historycznych: dziś się uczą i studyują, jutro zaraz piszą, a nie wiedzą że z tego co się nauczyli, ledwie cząsteczka idzie na pożytek ich imaginacji.

Gabryela w swjej powieści, kierowana własnym przecuciem, dała nam piękny obraz pogańskiego świata, wprowadziła w niektórych miejscach zanadto oświecony chrześcijański światłem i zanadto ogrzany ewangelicznym ciepłem, lecz zawsze prawdziwy, bo poetyczny. Kto inny może w podobnej powieści wylizyć cały szereg bogów i bogiń, złożyć dowody że więcej pracował, że więcej w tym przedmiocie umie, lecz z pewnością nie potrafiłby ani tak zająć, ani tak wzruszyć czytelnika.

W powieści tej, jak i w Przekleństwie lub w Lili, pomijając miejsca rzewne, pełność uczucia, jakie rozlane jest we wszystkich pismach Gabryeli, należy zwrócić uwagę na wyrażenia wzniosłe, na myśli głębokie, na to wszystko wreszcie, co przeplatane chmurą i gromem, jest jednak naturalne, zrozumiałe i ciepłe. Nic tu nie znajdziesz z owjej sztywnej, kronikarskiej mądrości. Z Przekleństwa przytaczamy wyjątek:

Chmur ciemnością, gromów blaskiem,
Połamanych jodeł trzaskiem,
Szaloną burzą, która dziś na niebie,
Jakby zgłoski ognistemi,
Pisze wyrok zagłady przelęknionej ziemi
I nuci jej pogrobnym hymnem zawieruchy,
Ja wołam ciebie, — ja witam ciebie!
Ty najpierwszy między duchy,
Choć ostatni w czas rzucony,
Ty co walczysz niezwalczony,
Po Bogu — Panie stworzenia!
Duchu zniszczenia!
Witam ciebie — po tej stronie
Mojej lutni spłyn w piorunie,
Spłyn i wymów owe słowa,
Co je wieczność w łonie chowa,
Do lat wielu — czasów wielu,
Na zagładę świata.

Spłyn, spłyn duchu niszczycielu!
Tu — do piersi brata,
Tu — do piersi i do ręki!

W ogólności jednak te większe poematy nie są pomnikiem natchnień Gabryeli; forma w nich, jako artystyczna całość, piękna, choć mimowolnie zaniedbana; lecz za to ustępy pojedyncze, za to obrazki oderwane, to istne arcydzieła!

Kto chce się odżywić świeżą myślą, kto chce daleko spojrzeć oczami duszy, niech odczyta: Szczęście poety, Trzy pieśni gęślara lub Fragment, a rękę z połowę przepisie, aby myśli takie ciągle mieć przy sobie.

Pozostaje mi jeszcze coś powiedzieć o *Różnych wier- szach*, w różnych chwilach życia pisanych; lecz cóż tu o nich prawić, kiedy niemal wszystkie umieć na pamięć? Jak improwizacja z *Poganki*, tak wszystkie te poezje obiegały świat Boży, doznając wszędzie gościnności; niejedną z nich, podłożoną pod muzykę, do dziś dnia z roskoszą śpiewają — a myślę że to co w sercu ogółu spoczywa, dziś jeszcze zimnej krytyce podlegać nie powinno, podlegać nie może.

W całym zbiorze rymowanej poezji Gabryeli widzimy tkliwość obok męskości, śpięwność obok siły, a kobieci-autorki prawie nigdzie domyślić się nie można. Wśród wszystkich dzisiejszych poetów, Gabryela zajmuje jedno z najpiękniejszych, najświetniejszych miejsc. Od nieśmiertelnych mistrzów słowa różni ją tylko forma, niepełność dzieła jako utworu sztuki; w potędze wyrażenia, w głębokości myśli i prostocie, może się z nimi równać; czasami zaś, gdy uderzy w strunę serca, nawet ich przewyższa, jeśli w takich sferach, do jakich doszła Gabryela, przewyższać się lub wyróżniać można?

Ostrzegam czytelnika, że sąd swój wydaję tylko z tych dzieł, jakie w książce mam przed sobą.

A teraz weźmy do ręki drugą część pism Gabryeli, w której się mieszczą poezje nierymowane. Z góry już powiedzieliśmy, że poetce odmawiamy stanowiska powieściopisarskiego, nie dlatego jednak aby powieści pisać nie umiała, bo obrazki jej oderwane wszelkie wątpliwości w tym względzie usuwają, lecz dlatego, że w zbiorze swym żadnej skończonej całości tego rodzaju nam nie dała. *Pogankę*, *Białą różę*, *Książkę pamiętek*, mianem powieści w pewnej tylko części oznaczyć można, względnie do formy powszechnie przyjętej. *Książka pamiętek* do połowy, to powieść zupełna: jest właściwy układ, jest intryga, a więc węzeł, który pozwoliliby wszystko doprowadzić do końca, gdyby autorka chciała. Lecz Gabryela o formę nie dba, każda dla niej dobra, każda pod jej ręką powabna, czy to list, czy fragment, czy pogadanka, byle tylko znalazła ją dogodną dla wyrażenia swych myśli, dla przeprowadzenia rozmowań, rozumowań godnych nieraz najgłębszego filozofa.

Gdziekolwiek utworzysz książkę, cokolwiek przeczytasz, na wszystko z pewnością się zgodzisz, nad wszystkim się zastanowisz i wyciągniesz wniosek, że to co napisane tak świetnie, tak od serca do serca, jest wypływem ciągłych rozmyślań, bezustannego śledzenia życia, jakim jest i jakim być powinno. Tu wszyscy, którzy biorą się do pisania rzeczy lekkich z pozorów, powinni zobaczyć co trzeba umieć, jak należy myślać pracować, aby utwór był zdrowym pokarmem dla narodu. Pisma Gabryeli tak misterne, tak swobodne, tak lekkie w swjej budowie, przypominają mi owę architekturę gotycką, smagłą, skrzydlatą i wiótką z pozorów, która jednak wieki przetrwać zdolna, bo wewnątrz spojona jest żelaznymi ogniwami, które jak nauka imaginacji, tak one całej subtelnej budowie dodają mocy i trwałości.

W pismach nierymowanych, Gabryela wszędzie zachowuje głębokość, jedność i siłę męską; tylko po nadzwyczaj delikatnych rysach, intuicyjnych zgadywaniach, po słodczy wreszcie wyrażenia, można poznać kobieci, lecz kobieci odważnego serca, poważnego umysłu. Dla mężczyzny potrzebny było niemal ubłogosławienia, by z takim ciepłem, z takim spokojem mógł niejedno wypowiedzieć.

Postacie w utworach naszej poetki nie odznaczają się ani jaskrawością charakteru, ani oryginalnością coraz nowych rysunków, a charakterystyka ich w ogólności jest najnaturalniejsza. Są to wszystko ludzie z pośredka nas; ludzi tych jednak jest bardzo wiele, a chociaż z pozorów podobni, podobniusiency do siebie, przy bliższym poznaniu najzupełniej różnią się między sobą, tak autorka w jednym ciele odnajduje przeróżne strony duszy. Rozwijaniem powszedniego naszego świata, Gabryela dowiodła, że dla niej niema tajemnic w ludzkiej naturze.

Jednym nieraz rysem, kilką słowami, odmaluje osobę tak dosadnie, że jej nigdy nie zapomnisz, jak n. p. „Miał twarz szarawo-błądą, jak zakurzona bibuła angielska, czoło płaskie i czworokątnie podłużne, jak bilet wizytowy, oczki jak dwa pikowe asy, nos jak

inpertynencją, usta jak grubiaństwo, brodę jak zaczepkę.“ Przytoczyłem te wyrazy dla pokazania, że Gabryela z poezją łączy dziwną łatwość dowcipnych zwrotów, ze słodyczą gorzki sarkazm i szczypiącą ironią.

W autorce i to godne jest podziwienia, że najszczytniejsze swe myśli objawia w najprzystępniejszej formie, że uczucia wielkie, nadzwyczajne, wlewa w ludzi takich jak my wszyscy, że wreszcie sceny pełne dramatyczności, oprawia w ramki powszedniego życia i wszystkie stosuje z sobą w cudownej harmonii: dowód to nieomylny prawdy, jaka w jej pismach spoczywa. Na przykład w rodzinie rzemieślnika, słusza, mieści dziewczę-aniola z Bożym duchem; wśród ludzi prostych a poczciwych, stawia dziewczę, która wieszczęm słowem gotowa przewodniczyć światu; żeby takie sprzeczności (pozorne wprowadzie tylko, względnie do konwencyonalnego społeczeństwa) godzić z sobą, trzeba ogromnego talentu, więcej jak talentu... trzeba wiary, że łaska Boża wszędzie spływać może.

Gabryela wyznaje że pisze biografie, a nie powieści, doprowadza też wszystko tylko do pewnego punktu, a potem opuszcza czytelnika, by sam dopełnił tego, co ona rozpoczęła. Po wszystkich zapytaniach, niepewnościach, jakimi autorka zwykła kończyć swe pisma, widzimy ją jak składa pióro, jak się zamysła i bada jaką drogę wybrał ten, z którym do tej chwili nierozłącznie żyła: — poetka nasza ciągle musi myśleć i badać działania ducha ludzkiego.

Wszędzie poezja! lecz poezja zdrowa, silna, porzeczająca jak najczystsza prawda, jak jej styl uroczy, którym się dość nacieszyć nie można; — nigdzie chorowitej tkliwości, wszędzie spokój chrześcijański, odwaga, zaność i poczciwość duszy. Jak ona obok namiętności, które szarpia łono artysty lub poety, słicznie pojmuje życie nasze zwyczajne, jak obok uwielbienia nadzwyczajności w naturze, ceni cnoty rodzinne! Gdy mówi o polskiej starości: „Taką babunię wszyscy z drugiego pokolenia, od najstarszych do najmłodszych, z poszanowaniem w rękę całują i odwiedzają, niby ze wspólnie przyjętego rodzinnego obowiązku, a gdy się komu zdarzy w domu ją swoim przyjmować, to jest taka szczerą radość, taka suta gościnność, jak na uroczyste święto.“ — widać tu, że zanim myślą pobiegła w krainy niedostępne dla zwyczajnego umysłu, ukochała to co nam wszystkim jest drogą.

Podczas sporów dotyczących się kwestyi kobiet, Gabryela milczała, bo to wszystko co wówczas za i przeciw napisano, ona już dawno i lepiej wypowiedziała; dość wówczas było przeczytać w jej pismach o miłości, o szczęściu, o tém jak się je zdobywa, o życiu i celach jego, a z pewnością wszystkie spory odrazu by się skończyły i Gabryela została sędzią pojednania.

Od pierwszej niemal pracy do ostatniej, autorkę widzimy jedną i tą samą; zdaje się iż odrazu dojrzała, że tego co raz wymówiła, nie potrzebuje już nigdy ani odwołać, ani poprawić, bo wymówiła samą prawdę.

Teraz zapytajmy się co jeszcze Gabryela pisać będzie?

Nie wiemy — nam dosyć wiary że pisać będzie, że pisać powinna. Czy stworzy skończoną powieść, trudno przewidzieć, chociaż gdyby głos mój miał jakiegokolwiek zachowanie u naszej autorki, radziłbym jej wstąpić na drogę powieściową. Mówią że powieść już się zużyła, lecz właśnie dla tego samego pióra Gabryeli byłoby tu nadzwyczaj pożądaną, bo od niej mogłaby wyjść reforma prac tego rodzaju, bo jej powieść zwróciłaby może czytelników na drogę głębszego myślenia, na drogę narodowej filozofii. Dziś publiczność przyzwyczajona przyjmować lekarstwa w słodkich pastylkach, więc ustępując jej nieco, można ją podbić i poprowadzić za sobą. Niegdyś *Poganka* — wszystkich zentuzjazmowała, dziś *Biała róża* — przeszła prawie niepostrzeżoną, bo dawniej czytano mniej, ale z większym wyborem, dziś więcej, lecz prawie na oślep. Czasy się zmieniły, zmiana więc środków jest konieczną. Forma powieściowa wielceby się nadała do poetycznych utworów Gabryeli, a za powieścią takiego pióra, tłumyby poszły.

Kończąc swój przegląd, wzywam wszystkich czytających po polsku, aby pisma Gabryeli starali się poznać i poznali koniecznie; bo wielkim grzechem jest sztucznym kwiatom dawać pierwszeństwo przed białą, na naszych polach wyrosłą lilią. W imieniu zaś wszystkich ceniących dobro ojczystej literatury, dziękuję autorce za jej wielkie, nie ilością, ale duchem, prace — z powodu których, pisząc ten artykuł, doznałem kilku chwil najpiękniejszych może w ciągu mego krótkiego literackiego zawodu.

NA DAWNYM SZLAKU.

Witaj mi! witaj! znajoma dolino!
Niezapomniana, choć dawno żegnana!..
Srebrny strumieniu! cienista olszyno!
Wiosko, na stromym brzegu rozsypana!..

Czy mi się zdało? czy się tylko śniło,
Długa rozstania że nas dzieli pora?..
Wszystko jak było! nic się nie zmieniło!
Jakbym pożegnał wszystko ledwie wczora.

Na wzgórzu szumi jabłoń rosochata,
Brzoza złociste puszcza na wiatr włosy;
Nad suchą wierzbą bocian z gniazda wzlata,
Smug wędnącemi wonieje pokosy...

Sto krętych ścieżek wiję się po smugu,
Ach! ja nie zbłądę w ich zielonej matni!..
Oto jest ścieżka, po nad brzegiem Bugu,
Którą jechałem tędy raz ostatni!

Jakżeż rokosznie, żywo, dumnie, błogo
Bilo mi serce, gdy m zdążał tym szlakiem!..
Koń biegł jak strzała, jam go bódł ostrogą,
Chciałem skrzydlatym żeby stał się ptakiem!..

Dziś, ze spuszczoną głową koń mój kroczy,
Zrywając trawy na lewo, na prawo;
Sam schylam czoło, — i czuję, jak oczy
Coraz mi ciemniej mgłą zachodzą łzawą.

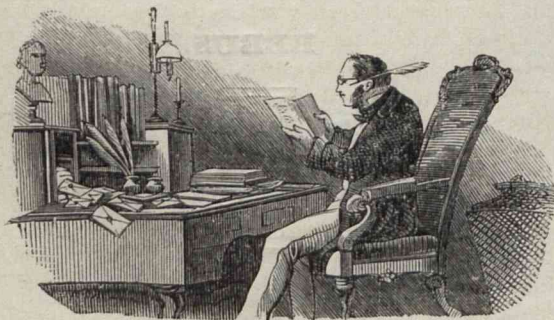
Stój! stój! od brzegu zawróć, koniu siwy!
Niema bystrego po co przebyć brodu!
Nikt nas nie czeka w szpalerze ogrodu,
Nikt ci jedwabnej nie pogładzi grzywyl!..

Wszystko zostało, jak kiedyś bywało;
Nie się, ach! nic nie zmieniło!
Jedynie serce, co mnie tu kochało,
Śpi już pod zimną mogiłą!..

Pędź, pędź! mój koniu, lotem błyskawicy!
Świszczącą strzałą siec wiatry szumiące!..
Niech osuszone z twarzy łzy gorące
Nie zdradzą ludziom serca tajemnicy!..

A teraz, koniu! rozstać się nam obu!
Dzięki ci! dzięki twój wierny posłudze!..
Wracaj wesoly do twojego żłobu!
Ja smutny wracam między ludzkie cudze.

Roman Zmorski.



Panu S. w Warszawie. Nadesłanego wierszyka drukować nie możemy.

Panu X. w Kalwarii. List Pański, pełen zdrowych uwag o znaczeniu polemiki, dowodzący potrzeby zabierania głosu w kwestiach podlegających z natury swojej rozstrząsaniu, przeczycaliśmy z prawdziwą przyjemnością. Na wyrażone w nim myśli chętnie się zgadzamy; bo nikt też pewnie nie zaprzeczy użyteczności ścierania się zdań i opinii, które, jeśli nie w każdym wypadku prawdę na jaw wyprowadza, zawsze jednak przyłożyć się musi choć w części do sprostowania mylnych wyobrażeń, do wyrobienia sądu jaśniejsze-

go, do postawienia słowem rozbieranego przedmiotu w świetle należytem przed opinią ogółu. Nadmieniamy tylko, że ponieważ wszystkie te aforyzmy wywołane zostały pobieżnie rzuceniem zdaniem naszego kronikarza tygodniowego, sądzimy przeto że szanowny korespondent rzecz tę zrozumiał i podjął zbyt poważnie. Kronikarz nasz, mówiąc że „polemika w obecnym u nas stanie piśmiennictwa nie jest pożądana,“ miał tylko na myśli owe podjazdowe utarczki i reklamy, powodowane najczęściej interesem osobistym, próżnością lub chęcią popisania się w szrankach literackich, które istotną są plagą naszego społeczeństwa, a wywoływane zbyt często i przez własne jego sprawozdania. Może wkrótce w oddzielnym artykule będziemy mieli sposobność powrócenia jeszcze do tego przedmiotu i wtedy rozwiniemy w nim obszerniej nasz sposób zapatrywania się na ważną tę sprawę.

KORRESPONDENCYA

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Wilno d. 28 grudnia 1860r.

Biorę do ręki pióro miejskiego nowiniarza, aby zastępując zwykłego waszego korespondenta, dać znak życia ze starego grodu Gedymina. Niedobrze się jednak wybrał, bo właśnie obecna chwila mało objawia symptomatów życia. Ołowiane, nieruchome chmury zaległy horyzont nad Wilią i Wilenką. Jest to symptomat jesieni, właściwy podobno nie jednemu Wilnu. Ale oto słońce gdzieniegdzie wyjrzało z poza szmatów chmur, śnieżek przykrył ziemię, na ulicach pokazały się sanki i twarze ludzkie poweselały. Wstyd wyznać, że człowiek, pan świata, który powinien być zawsze sobą samym, bez względu na zewnętrzne wpływy, chmurzy czoło lub błysnie pogodą firmament rozwieszony nad jego głową. Nie chce się hardziej duszy uznać nad sobą klimatycznych wpływów, a jednak te wpływy nami rządzą tak samo, jak wpływy fizycznego bólu, choć nieraz kłamany uśmiech na twarz przywdziewamy. Oprócz tych wspólnych z całą ludzkością przyczyn poweselenia humoru, w mieście tutejszym poweselały czoła biednej klasy urzędników, rzemieślników i drobnych handlarzy, bo z sanna drogą ułatwiony dowóz produktów, zniżył nieco cenę zboża i opałowego drzewa, dwóch niezbędnych warunków życia. Weselsza gosposia, i mniej słychać wrzasków na kucharki, i świętsze ubiorki widzieć można, a to wszystko dzięki kilku promykom słońca, kilku płatom śniegu.

Co do życia towarzyskiego, czy towarzysko-publicznego, tego jeszcze nie nadeszła doba (czyli mówiąc obcy, a bardzo utartym wyrazem, nie przyszedł sezon). Od nowego roku ożyją te milczące ulice, zaszumią ekwipaże, rogi ulic okryją się afiszami zwiastującymi zabawy, gdzieniegdzie w oknach zabłyśnie balowe światło; dotąd nic tego niema. Chłopi gdzieś tam po wioskach domlającą żyta, dopijają w karczmach summy potrzebne na karnawał dla panów, pań i panienek, kupcy skarżą się na stagnacyę, salony oczekują gości.

Życie średniej klasy, złożonej tu po największej części z podrzędnych urzędników, słabo się rozwija pod towarzyskim i umysłowym względem. Żywot duchowy pań, ogranicza się na rannem nabożeństwie i wieczornych powszednich nowinkach; panienci uprawiają gammy na fortepianach, a panowie i panice grają w preferansu lub ciągną piwo w bawarych, przy dźwięcznym stuk bilardowych karambulów. Świat tak zwany literacki, ześrodkowany w jednym gdzieś tam kółku, monopolizuje wiedzę i z delfickiego trójnoga sądzi jej objawy. Świata artystycznego tu rzekłbyś niema, bo nigdzie nie reprezentowany, rozpiercha się po pojedynczych towarzyskich kółkach.

Nie mówiąc więc o tém czego niema, powiedzmy o tém co być powinno, w mieście takim jak Wilno i w wieku takim jak dziewiętnasty. Oto powinno się tu założyć coś naksztaltu resursy, gdzieby za pomierną opłatą, niezamowny gość mógł miło a pożytecznie przepędzić wieczór. Niechby dwa lub trzy salony, poświęcone temu celowi, były zaopatrzone w parę fortepianów, niechby ściany ich były zawieszane obrazami tutejszych malarzy, niechby trafnie dobrane dzienniki dawały możność dowidywania się co się dzieje na świecie, niekoniecznie poprzestając na polityce. Nauczyciele, literaci, biuraliści, malarze, muzycy, artyści dramatyczni, w jedną rodzinę zebrani, tu znaleźliby przedmiot do interesującej rozmowy i pożytecznych sporów; tuby się smak wykształcał, wyrabiała opinia, tu wieczorek zszedłby jak w raj, a człowiek nie-

wiedzący co począć z czasem, wróciłby do domu z wesołym sercem i z głową nieobciążoną wyziewami ponczu lub piwa. Koszta na podobny zakład i jego utrzymanie nie byłyby wielkie; mógłby je ponieść dobrać a rozumnej woli jaki prywatny przedsiębiorca, lub dałyby się zastąpić ze składek od członków, gdyż słyżeliśmy od niejednego z ludzi niezamownych, iż chętnieby na ten cel poświęcił cząstkę swęj szczupłej placę lub dochodu.

Macie, powie ktoś, klub szlachecki; na miasto nie tak bardzo ludne, czyż on potrzebom miejscowym nie wystarcza? Tak jest, nie wystarcza, a raczej zdaniem ogólnem nie odpowiada ani miejscowym potrzebom, ani celowi swojego założenia. Widmo kumejskiej kapłanki zdaje się czuć u bramy naszego klubu i wołać: *Procul, o procul este, profani!* a profani, ze czcią należną omijając instytucyę, powtarzają stare przysłowie: *wysokie proggi na nasze nogi*. I w istocie, przyszedłszy przez ogniową próbę wotów, musisz zapłacić 18 rubli srebrem za wpis roczny, summa bardzo wielka, w porównaniu z klubami i resursami miast innych, np. w królestwie polskim lub zagranicą. Nie słyżać u nas, jak gdzieindziej, o popularno-publicznych odczytach, a komu ochota i możność nie służą do dosyć grubej gry kartowej, temu pozostaje tylko prze-głądać mało obfity zbiór pism peryodycznych, które niemal wszystkie można czytać w pierwszej lepszej restauracyi lub cukierni. Zwykle tygodniowe, składkowe obiady są także za drogie, uwzględniając szczupłe dochody urzędników, z których się po większej części towarzystwo klubowe składa. Cena np. ostatniego obiadu w rocznicę założenia klubu, wynosiła sześć rubli srebrem; summa za którą cały tydzień może się stolować żonaty, a cały miesiąc niezonaty kancellista. Powtarzamy, że klub nasz nie odpowiada celowi swojego założenia, zamiast bowiem jednoczyć warstwy społeczne, rozdziela je nakładaniem wysokich opłat, a tém samem albo naraża niedostatkiem na zbytki, albo pozbawia ich przyjemności towarzyskiej.

Po klubie, a raczej przed klubem, teatr zasługuje na rzut oka, jako zabawa popularna i dostępna dla płci obojgę. I tutaj moglibyśmy powtórzyć skargę ogółu na wysokie ceny biletów; ale uważając koszta przedstawień i szczupłość lokalu, zgodzić się musimy, że inaczej być nie może. Nie zgadzamy się na zdanie tych, którzy w obecnym stanie teatru widzą jego upadek; owszem, dzięki obfitości utworów dramatycznych, w ostatnich czasach zubożony repertuar, dał możność okazania czem są artystom, których gęsty szereg nowo w tym roku dyrekcya angażowała. Prawda że skutkiem umiejętnego obsadzenia, lepsze sztuki, jak *Szlachectwo duszy*, *Dzieje serca*, *Dla milego grosza*, *Domy polskie* (Majeranowskiego), *Wiezy*, nowa komedya Bogusławskiego *Tak się dzieje* i t. d. słyż dobrze i zwabiały publiczność, która już w posilniejszej strawie smakować zaczyna, co niezaprzeczenie za zasługę dyrekcji poczynać należy; prawda że niektórzy z nowo przybyłych okazują poznaki talentu, ale zawsze nie zastąpią nam tych co ubyli, a dawni tutejsi artyści: Surewicz, Nowiński, Deryng, Dombrowski, Malewski, Chelmikowski są filarami sceny i ulubieniami publiczności. Toż samo rzec i o kobiatach, w gronie których talentu pani Borawskiej (dawniej Markowskiej), ani naturalności i scenicznej wprawy panny Pacewiczówny, niktby nam nie zastąpił. Nie zrażając nowoprybyłej młodzieży, powiedzmy, że w grze jej czuć jeszcze prowincjonalizm i nieoswojenie się z deskami sceny. Panowie Leszczyński i Piasecki zdają się nieomylnie wróżyć wyższe zdolności, ale bardzoby zaszkodziłi swojemu przyszlemu postępowi, gdyby mieli się już za skończonych artystów. Panny Julia i Wanda Leszczyńskie należą także do nabytków tegorocznych; pierwszą za mało widzieliśmy na scenie, drugą, udarowana piękną postacią, zapowiadała, a raczej była zapowiadana, jako artystka pierwszego rzędu. Kilka jej wystąpień dały nawet powód do dosyć zwawęj polemiki pomiędzy sprawozdawcą tutejszego Kuryera, a korespondentem wileńskim Gazety Codziennęj. Powiedziano z obu stron, wiele pięknych rzeczy, ale zdaniem naszym za wiele spotrzebowano farby drukarskiej za sprawę dosyć problematycznego talentu panny Wandy Leszczyńskiej. Nie należąc do żadnego obozu, powiedzmy że artystka mięwa niekiedy dobre miejsca, że niezłą bywa w scenach naiwnych, lepszą jeszcze w wymagających wdzięcznej kokieterii (lubo tu niekiedy przez niepojęcie charakteru mija się z myślą autora, jak np. w *Dziejach serca*); najslabszą zaś jest w scenach wrzących uczuciem; deklamuje, a w swęj deklamacyi puszcza plazem miejsca, na których autor wytyżył cały przyceisk i założył jakby oś sztuki. Te są nasze ogólne uwagi o teatrze wileńskim; szczegó-

lowe znajdzie czytelnik w każdym niemal Nrze Wileńskiego Kuryera, gdzie p. (x), naturalny monitor teatru, ze ścisłością ocenia każdą fazę gry aktorów. Tymczasem oto kilka jeszcze myśli, które się młodym artystom mogą przydać.

Niedosyć jest lubić sztukę, trzeba ją kochać ze wszystkiego serca i ze wszystkich sił swoich.

Niedosyć jest, dla zglębienia charakterów, zglębiać życie, trzeba wiele czytać i myśleć, aby sobie umieć zdać sprawę ze swych poglądów na świat i autora którego grać mamy.

Niedosyć jest wdzięczyć się do publiczności, trzeba ją szanować.

Niedosyć jest odbierać oklaski żywe lub drukowane, trzeba w sobie wyrobić artystyczne sumienie, aby ocenić ich słusność.

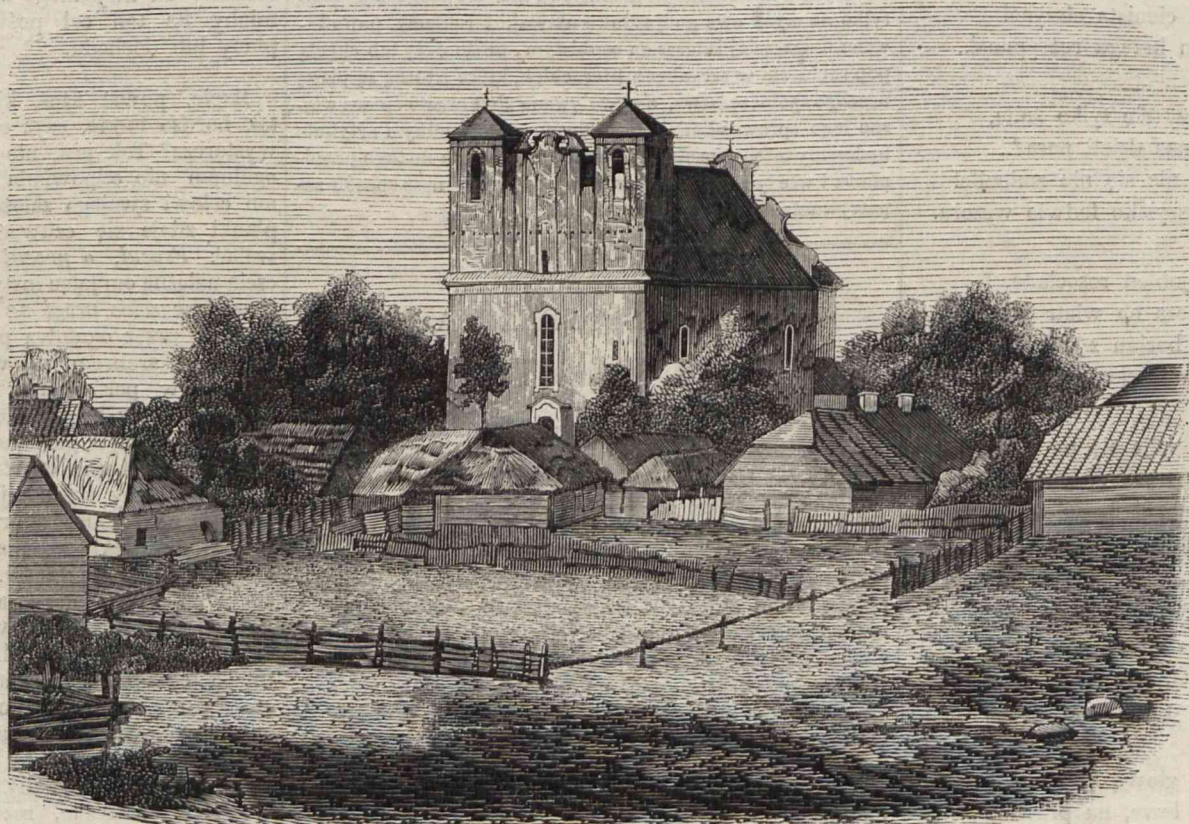
Niedosyć... ale już dosyć, powiedzą czytelnicy.

Nie mówimy o operze, a mianowicie o trzech świętych przedstawieniach Halce; aż nadto już wiele niewtajemniczeni popisali i popisałi jeszcze muzycznych bredni, abymy mieli ich liczbę powiększać. Zostaje nam wezwać właściwych sędziów nie już do ocenienia uznanej przez świat muzyczny opery, ale jej wykonania w Wilnie. Mówiąc o Halce, nie godzi się pominać słiznych dekoracji, wykonanych przez pp. Kulikowskiego i Strausa. W ogólności teatr wileński posiada dobrą dekoracją; tylko te nieszczęsne salony tak się już zanachronizowały, tak wiek swój przeżyły, że ich płótna mogłyby raczej służyć na budę telespisowego wozu, niż na dekorację ozdobnego teatru, jakim jest niezaprzeczenie wileński.

dla Polski. Kościół mурowany stoi na wyniosłej górze i panuje nad całą okolicą. Miasteczko otoczone jest ciemnym jodłowym lasem, i to właśnie dało mu nazwisko *Szydłowa*, bo wyraz polski *bór*, nazywa się w żmudzkiem języku *szylas*. Za czasów Żmudzki bał-

z kalwinami, w skutek którego zapadł dekret trybunałski 1622 r., wracający katolikom ich własność. Odtąd zbor kalwiński zaczął upadać, a skutkiem ciągłych niesnasek, a nawet krwawych utarczek między kalwinami i katolikami, ukończonych śmiertelnym ranieniem komendarza Siernowskiego, pleban kalwiński zmuszony był 1728 r. wynieść się do Kielm. Nakoniec 1754 roku zbor został przyłączony do zboru kiejdańskiego i zniszczony ze szczerem.

Tymczasem cudowny obraz Matki Boskiej szydłowskiej stał się tyle głośnym, że zewsząd lud tłumnie zaczął się zgromadzać do niego, i znosząc liczne wota w srebro i złocie, dostarczył funduszu na rozpoczęcie budowy terazniejszego kościoła. Roku 1760 założył fundamenta jego ówczesny pleban, a późniejszy biskup żmudzki, ks. Jan Dominik Łopaciński, skończył zaś tę budowlę i konsekrował 1786 r. następcą jego, ks. Tadeusz Bukaty, proboszcz szydłowski i biskup tepszeński. Tegoż roku bullą Piusa VI kościół szydłowski wyniesiony został na stopień infułacyi, a cudowny obraz otrzymał koronację, poświęconą w Rzymie koroną. Obrzędu tego dopełnił uroczystie na rynku biskup żmudzki, książę Stefan Giedroje, w asy-



KOŚCIÓŁ W SZYDŁOWIE NA ŻMUJDZI. (Rysował Polkowski, rytowano w drzeworytni Tygodnika.)

KOŚCIÓŁ W SZYDŁOWIE NA ŻMUJDZI (*).

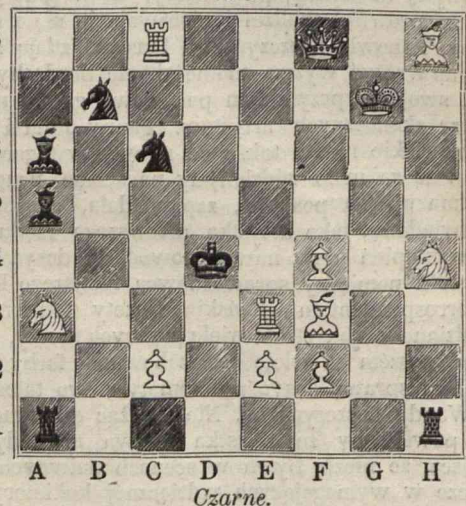
Szydłów, jest to miasteczko parafialne powiatu rosińskiego, gubernii kowieńskiej, słynne cudownym obrazem Matki Boskiej, i z tego względu jest tém dla Żmudzki, czém Ostrabrama dla Litwy, a Częstochowa

(*) Piszemy *Żmudzki*, a nie *Żmudzi*, bo bliższe jest podobieństwo do krajowego *Zamajtis* Żmudzina, *Zamajezia* ziemia żmudzka ziemia.

SZACHY.

ZADANIE XLIX. (do nagrody).
(A. Petrow w Warszawie.)

Białe zmuszają czarne do dania sobie (białym) mata w 43 posunięciach.



Termin do rozwiązania tej końcówki, oznaczają się aż do 1go marca r. b. Trzy pierwsze dobre rozwiązania otrzymają nagrody w książkach wartości rs. 10, 6 i 4. Wszelkie przesyłki powinny być frankowane.

wochwalczej, Szydłów nazywał się *Buda*, od wyrazu *Budta*, znaczącego w litewskiej mitologii bóstwo mądrości, które, według świadectwa miejscowych dokumentów, miało świątynię na témże miejscu, gdzie dzisiejszy kościół stoi. Pierwiastkowa fundacja kościoła przypada w 1457 r.— Piotr Giedygołd, dziedzie Giejzów, wystawił go na cześć Narodzenia Matki Boskiej i patronów swych, św. Piotra i św. Bartłomieja, a na utrzymanie plebana zapisał wieś, składającą się z dziesięciu chat osiadłych, oraz dziesięciny z trzech folwarków. Po Giedygołdzie dostał się Szydłów Mikołajowi Kieżgajle, którego jedyna córka, Barbara, oddana w zamęcie Andrzejowi Zawiszy, wniosła Szydłów z innymi majątkami w dom Zawiszów, przed rokiem 1500. Odtąd ci Zawiszowie, jak powiada Niesiecki, poczęli się pisać Zawiszami-Kieżgajłami i herb Kieżgajłów Łabędź przybrali do swego herbu Róży. Syn tego Zawiszy, Jan, odziedziczył Szydłów po ojcu, po zgonie zaś Jana został właścicielem Szydłowa brat jego Melchior, kasztelan witebski. W tę porę zaczął się szerzyć kalwinizm na Żmudzki. Melchior Zawisza przeszedł także na kalwinizm i jako dziedzie Szydłowa, wystawił dla swjej potrzeby zbor. Gdy nowe wyznanie opanowało Żmudzki do tyła, iż w całej dyciezyi zaledwo siedmiu księży katolickich zostało, wówczas upadł i kościół szydłowski, a fundusze jego przywłaszczone zostały przez zbor kalwiński. W lat osmdziesiąt po tym wypadku, a mianowicie 1612 r., rozeszła się wiadomość o ukazaniu się Matki Boskiej na kamieniu stojącym za miasteczkiem. Cud ten był powodem procesu kapituły żmudzkiej

stencyi trzech biskupów i generalnego starosty żmudzkiego, oraz w obec 30 tysięcy pobożnych, przybyłych na ten obrzęd z Prus, Litwy i Żmudzki (**).

Dzisiaj miasteczko Szydłów należy do rządu, ma 80 domów drewnianych, z których połowa zasiedlona Żydami, aptekę dobrze utrzymaną, dom infułacki mурowany, traktiernię i kilka kramów. Bywa tutaj każdorocznie 8 września odpust przez cały tydzień, podczas którego zwykle kilka tysięcy osób przystępuje do komunii św.,—oraz jarmark sprowadzający kupców nietylko z poblizszych miast, lecz z Rygi, Mitawy, Kowna, Wilna i Dynaburga. Parafia szydłowska liczy 4687 ludności katolickiego wyznania.

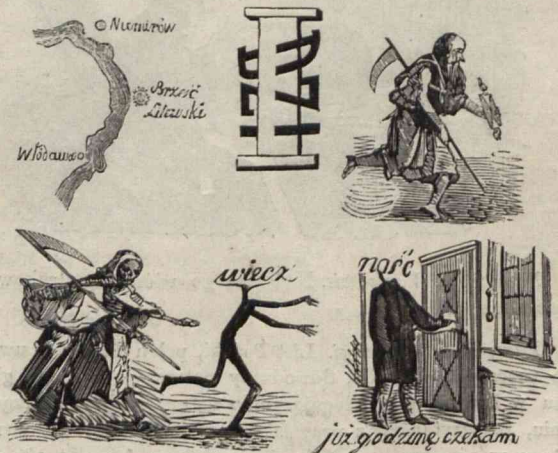
Na końcu miasteczka jest kaplica drewniana, w środku której leży ów kamień, na którym, według podania, ukazała się Matka Boska. Urządzono na nim ołtarz, dla odprawiania mszy św., a nad nim, zamiast obrazu, wzniesiono kamienny posąg Matki Boskiej. Tuż przy kamieniu postawiona jest skrzynia żelazna, w której po upadku kościoła schowane zostały przez katolików aparaty kościelne. Zakopane w ziemi, leżały w niej przez lat 80, dopóki katolicy nie odzyskali od kalwinów kościoła swego i przywłaszczonych fundusów. I. B.

(**) Obszerniejsza o Szydłowie wiadomość jest w dziełku wydanem w Wilnie 1859 r. pod tytułem: „Historyczne opisanie kościoła szydłowskiego.”

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 48.

- | | | | |
|------------------------------|---------------------|----------------|--|
| <i>Białe.</i> | | <i>Czarne.</i> | |
| 1) D 3 — D 4 | 1) F 4 — G 3 biorą | | |
| 2) D 4 — G 4 biorą | 2) D 5 — D 6 lub C6 | | |
| 3) G 4 — D 7 † i mat | | | |
| <i>Zmiana 1.</i> | | | |
| 1) | 1) F 4 — F 3 | | |
| 2) D 4 — A 4 | 2) jakkolwiek. | | |
| 3) A 4 — D 7 † i mat. | | | |
| <i>Zmiana 2.</i> | | | |
| 1) | 1) D 5 — C 6. | | |
| 2) D 4 — G 4 biorą | 2) C 6 — B 7. | | |
| 3) G 4 — C 8 † i mat. | | | |
| <i>Zmiana 3.</i> | | | |
| 1) | 1) D 5 — E 6. | | |
| 2) D 4 — A 4 | 2) E 6 — F 7. | | |
| 3) A 4 — E 8 † i mat. | | | |

REBUS.



Rozwiązanie rebusa umieszczonego w Nrze 68.
Roznosiciele Kuryera szybko dostarczają wiadomości.